

Aby rozpocząć lekturę,  
kliknij na taki przycisk ,  
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym  
LITERATURA.NET.PL  
kliknij na logo poniżej.



**Piotr Kuncewicz**

# **Nowa era dinozaurów**

**New Age**

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

## Piorun wskrzeszony

Według wierzeń amerykańskich Indian Siuksów, zepchniętych przez białych z prerii na ilaste pustynie, podczas gwałtownych burz wraz z piorunami wyłaniają się z chmur ogromne potwory płoszące stada bizonów, a następnie niknące pod ziemią. Później wielkie ulewy wynoszą na powierzchnię ich szczątki. A te nie odradzają się już, lecz przemieniają w całość w ludzkich snach i wyobraźni.

Ziemia gromadzi prochy i ziemia, gdy zechce, je odsłania. Nie tylko prochy. Głęboko pod ziemią jest przecież piekło ogniste pełne diabłów i potworów. Są niezmierzone skarby zakłete, strzeżone, których nie ujawnia się bezkarnie. Jest dziwny świat nocnych istot kryjących się przed słońcem. To pod ziemią jest ten niesłyszany punkt styczny między życiem a śmiercią, który z obumarłego ziarna wydaje zielony kielek.

Żyjemy przecież w istocie na wysokiej górze usypanej z kości, z popielisk wulkanicznych ogni, z namulów nieskończonej liczby potopów, z pogrzebanych snów tych, którzy żyli przed nami. I już na zawsze skazani jesteśmy na dwuznaczność życia i śmierci, dobra i zła, wielkości i prochu tego, co raz zanurzyło się w ziemi i niekiedy wraca do nas, a zawsze towarzyszy nam w snach, lękach i nadziejach. Nie jesteśmy pewni natury skarbu, jeśli nawet go odnajdziemy, ale nie możemy przestać go szukać. To właśnie dlatego tak ludzi fascynuje archeologia i jej znaleziska burzące wiele naszych zastarzałych poglądów, ale niekiedy potwierdzających nasze najgłębsze przeczucia.

Wyłaniające się spod ziemi „w częściach” zamierzchłe, gigantyczne zwierzęta w przedziwny sposób zgadzają się z mglistym światem ludzkiej półjawy, z przyczajonym w podświadomości lękiem, z legendami o smokach, potworach, olbrzymach i skarbach. Bo pod ziemią spoczywa nie samo zło. Są tam prochy opiekuńczych przodków, śpią zakłęci rycerze, a wyłonione z nawałnicy i pioruna zwierzęta także były Siuksom przychylnie. Jeszcze raz podkreślam tę dwuznaczność, współbrzmienie lęku i nadziei, dobra i zła, życia i śmierci, bo będzie to miało zasadnicze znaczenie. W istocie bowiem rzecz o dinozaurach ma charakter dwoisty. Z jednej strony ciekawi jesteśmy, jak z nimi było naprawdę, w materialnej rzeczywistości, jakie były, jak wyglądały, jak się zachowywały, jaki był świat ich otaczający, z drugiej nie mniejszą ciekawość budzi sam fakt tak żywiołowego zainteresowania, to drugie życie dinozaura, tym razem w ludzkiej świadomości i ludzkiej cywilizacji.

Film Stevena Spielberga oparty na powieści „Jurajski park” Michaela Crichtona w chwili, kiedy to piszę, zapowiada się na najgłośniejszy film wszystkich czasów. Oznacza to, że musiał trafić w pokłady zainteresowania najszerszych mas ludzkich. Dołączy więc do „Nietolerancji”, „Przeminęło z wiatrem”, „Quo vadis”, „Ben Hura”, „Kleopatry”, „King Konga”, horrorów Hitchcocka, Japończyków i samego Spielberga. Zauważmy, że znaczna część tych najgłośniejszych, najchętniej oglądanych produkcji dotyczy przeszłości, historii, część druga – różnorodnych potworów. „Jurassic park” łączy wspomnienie przeszłości z tchnieniem grozy. Ale nie jest bynajmniej odkryciem motywu, przeciwnie, w Ameryce dinozaury od chwili odkrycia i uzyskania imienia cieszą się powszechnym i zdumiewającym powodzeniem. To znaczy byłoby ono zdumiewające, gdyby z kolei i to powodzenie nie było tylko realizacją środkami współczesnej kultury masowej odwiecznego snu o potworze, o prastarym smoku, który zresztą w swojej fantasmagorycznej postaci przeżywa ogromny renesans w prozie typu *fantasy*. Podejrzewam, że cały ten syndrom może nam powiedzieć interesujące rzeczy o naszej własnej naturze ludzkiej.

Od przeszło stu lat dinozaur zajmuje w cywilizacji Stanów Zjednoczonych Ameryki miejsce ważne i osobliwe. To tam właśnie dinozaury zostały po raz pierwszy odkryte, tam roze-

grały się prawdziwe wojny o ich skamieniałe truchła, tam powstały najwspanialsze zbiory paleontologiczne cieszące się nie słabnącym od wieku powodzeniem. To w Stanach Zjednoczonych powstały liczne parki rekonstrukcji, same zaś dinozaury trafiły do reklamy, przeobraziły się w klusieczki w zupach Campbella, stały się bohaterami animowanych kreskówek. Jeszcze na długo przed Crichtonem i Spielbergiem dinozaur z barwnych albumów, książeczek z przygodami, komiksów, czekoladek, myjek, mydełek, puzzli i całego chlamu najprzeróżniejszych gadżetów współczesnej cywilizacji stał się towarzyszem i aniołem stróżem amerykańskiego dziecka, jego maskotką, sprzętem z ogródka jordanowskiego i przedmiotem zachwyty.

Był jednak, wyłoniony z nieświadomości zbiorowej, nie tylko dziwolągiem, kolejnym aktorem odwiecznego zwierzęco-ludzkiego cyrku po lwach Colosseum, karłach, tańczących niedźwiedziach, włochatej Julii Pastranie, braciach syjamskich, był także przesłaniem i to wielorakim. Był przybyszem ze stron i czasów, gdzie kryje się zagadka ludzkich narodzin i być może ludzkiego powołania. Rzecz nie jest bagatelna. Wiemy przecież, jak wiele stresów rodzi w człowieku nieznanostwo własnych rodziców i pochodzenia. Jakie utrapienie przeżywają sieroty i podrzutki, ile baśni od najstarszych po „Serce” Amicisa poświęcono dzieciom, które szukają swoich rodziców, bądź informacji o swoim pochodzeniu i przodkach. Otóż i ludzkość cała jest takim podrzutkiem nieświadomym tego gdzie, jak i z kogo się począł. Genesis ludzka jest przedmiotem nieskończonej liczby mitów, legend, religii, badań naukowych i fantastycznych pomysłów. Jest to nasz odwieczny ludzki stress, któremu przydajemy protezę nauki bądź wiary. I tak było zawsze, i dzisiaj jest także.

Niesłusznie uśmiechamy się z pobłażliwością nad decyzją izraelskich rabinów, odrzucających produkty ozdobione dinozaurem jako nieczyste. Między fundamentalizmem a nauką porozumienia być nie może, a obie racje na swój sposób są sobie równoważne. A dinozaurów przecież być nie mogło, bo nie miało kiedy, jako że świat w roku pańskim 1993 ma dopiero lat pięć tysięcy pięćset siedemdziesiąt i cztery.

Religie chrześcijańskie ciężko przechorowały Darwina. Oczywiście, szło tu o coś więcej niż sama data. Szło o to, że dla fundamentalistów rozumiejących Pismo Święte literalnie akt stworzenia istotnie dopełnił się w trakcie sześciu dwudziestoczworgodzinnych dni i nocy, istotnie Bóg zakasał rękawy i lepił człowieka z gliny jak garncarz dwojaki. Ciekawe, że zwierząt w ten sposób nie lepił, stąd wszelkie powinowactwo między człowiekiem a jakąkolwiek inną istotą było wykluczone. Tymczasem nauka mówiła, że z tej samej gliny powstało całe życie i że rozwijało się z form prostszych do bardziej złożonych (jak? – o to kłóć się uczeni do dzisiaj i spór rychło się nie zakończy), więc też fundamentaliści nauki zastosowali brzytwę Ockhama i całkiem Boga się pozbyli. Z czasem okazało się, że spór jest pozorny, że Stwórca nie musi mieć jakiegoś szczególniejszego stosunku właśnie do krzemu, że tchnienie ducha mogło się dostać jakiemuś już ukształtowanemu kuzynowi pramałpy. Podobnie i biblijne dni stworzenia uzyskały wykładnię symboliczną. Cała sprawa nie jest bynajmniej zakończona, gdyż jedność człowieka i zwierzęcia, drzewa i całej natury zyskuje coraz więcej zwolenników, a konsekwencje teologiczne takiego stanowiska są bez przesady ogromne.

Zanim doszło do tego swoistego zawieszenia broni, wyczyniano brewerie niesłychane i właściwie gorszące. W amerykańskim miasteczku Dayton toczył się proces o to, czy człowiek pochodzi od małpy i czy wolno o tym nauczać w szkole. Londyński biskup dopytywał się uczzonego, czy pochodzi od małpy ze strony ojca czy matki, obrzucano się nawzajem obelgami i insynuacjami. Dziś to wszystko się powtarza między Kościołem, dla którego seks jest tabu, a tymi, którzy uważają fizyczną stronę miłości za jedną z normalnych cech ludzkiej fizjologii, którą dopiero teraz zaczyna się poważnie poznawać i badać. Pewnie też dojdzie w końcu do jakiegoś kompromisu, czy też zawieszenia broni.

Wśród prób kompromisu między wiarą i nauką była też jedna bardzo osobliwa. Pojawiła się koncepcja, że wprawdzie wszystkie skamienieliны układają się w logiczny ciąg i mogłyby

świadczą o niezmiernej dawności, ale w rzeczywistości nie świadczą o niczym, gdyż Bóg pięć tysięcy lat temu stworzył je od razu gotowe. Zamiast stworzyć dinozaura stworzył po prostu jego gotowy, skamieniały szkielet... Pomysł wzbudził sporo śmiechu, ale tymczasem dzisiaj został po latach otrzepany z kurzu i pojawił się znowu. Wykopaliska miałyby więc być „skamieniałymi myślami Boga”, co nawet ładne poetycko, ale do poważnej dyskusji się nie nadaje.

Gdyby to jednak przyjąć, to oczywiście znaczyłoby to, że nie istniał człowiek pierwotny, ani owady uwięzione w bursztynie, żaden człowiek nie malował jaskiń w Lascaux, nie było trylobitów ani mamutów, no i samych dinozaurów. Stworzone zostały tylko ich gigantyczne kości, las kolumn, podziemny Partenon. Ale to już pewnie i reszta świata mogłaby być złudą i majakiem. A nie jest? – pytają, tym razem z Dalekiego Wschodu.

Nasza przeszłość, początek, narodziny, tak czy inaczej ciągle nieznanne. Porządek legendy nie zgadza się z porządkiem nauki. Wedle nauki człowiek wspinał się z niezmiernym trudem poprzez narzędzia z kości, kamienia, hordę pierwotną, niezliczone próby i błędy. Nie było żadnego złotego wieku, żadnej wielkiej cywilizacji technologicznej, Atlantydy czy Lemurii, nie było olbrzymów ani smoków, elfów ani trolli. Legendy natomiast twierdzą uporczywie, że swoje pierwsze chwile spędził człowiek w towarzystwie Boga albo bogów, że istniał Eden, rajski ogród, że istniały potwory, a wśród nich najgroźniejszy i najbardziej tajemniczy – smok. I to właśnie takie wierzenia i legendy złożyły się na nieświadomość zbiorową, na treść naszych snów i przeświadczeń. Ludzkość wierzyła w smoka, a wygrzebała dinozaura. Który dla którego był naprawdę pierwowzorem? Możliwe, że odkopywane niekiedy olbrzymie kości miały wpływ na legendę o smoku, ale dzisiaj to raczej stary towarzysz ludzkości, smok, coraz silniej kształtuje nasze wyobrażenia o dinozaurze.

Smoki były naturalnie rozmaite. W Chinach miały wiele odmian, rang i w ogóle było ich bardzo wiele w różnych miejscach. Ale były to raczej istoty pomocne, przychylne człowiekowi. Ten wariant rozumienia smoka w dziwny sposób wpłynął na współczesną literaturę fantastyczną, ale o tym później. Smok zachodni jest zupełnie inny, jest siłą złowrogą, już sam jego ogrom sprawia, że niszczy i trąca wszystko, unosi się w powietrzu, zionie ogniem, miewa kilka głów, pancierz nie do przebicia, najjadowitsze zaś są smoczyce bałkańskie – lamie. Jego krew jest płomienną trucizną, ale uodpornia skórę na zranienia – jak posoka potwora z Nibelungów, Fafnira. Jest żądny złota i skarbów, lubi sypiać na stertach klejnotów będąc tym samym żywym przeciwieństwem andersenowskiej księżniczki czulej na jedno małe ziarenko grochu. Jego ulubionym pokarmem są dziewice (Stanisław Lem dowodzi, że z sałatą), ale pożera też bydło, owce i w ogóle wszystko. To on był chyba tym potworem, zwanym Mały Wałkoń, który w „Takich sobie bajeczkach” Kiplinga wyłonił się z morza i pożarł za jednym zamachem wszystko, co król Salomon mądry przygotował na ucztę dla wszystkich zwierząt świata. A dlaczego właściwie smok lubił kulinarnie dziewice? To ciekawa sprawa i wrócimy do niej jeszcze.

Jeśli pominąć nadmierną chwilami ognistość i wielogłowie, jedynym zwierzęciem, które mogło być pierwowzorem smoka, był dinozaur, co stwierdzono już przy okazji pierwszych wykopalisk. Paszcza tyranozaura, skrzydła pterodaktyla, szyja brontozaura. A z głowami i płomiennością też sprawa ciekawa: wiele dinozaurów miało dwa mózgi i pewnie, by zwierzę uśmiercić, trzeba było zabić po kolei oba. Smocze głowy też musiały pospadać wszystkie. Nie słysząc wprawdzie o płomienności dinozaurów, ale coraz więcej dowodów na to, że były jednak stałocieplne. A że i smok, i dinozaur z jaja się rodzą, tego przypominać nie trzeba.

Smoki wyginęły już dawno. Ostatnia relacja o żywym smoku pochodzi z Polski, spod Pułtuska, z roku bodaj 1937 (!). Co to mogło być takiego? W okolicy były bazy wojskowe, więc do balonów i samolotów ludność przywykła, sterowce też nie były niespodzianką. Niestety, nie zanotowano bliższych szczegółów.

Inne smoki, jeśli nie wyginęły, śpią pod ziemią, pod wzgórzami. Tak bywa w Chinach, tak było w Vientiane, w Kambodży, co zresztą przyczyniło się w pewnym momencie do upadku Sihanouka i zwycięstwa Czerwonych Khmerów, tak jest w polskim Czudcu, na drodze z Rzeszowa do Krosna. Pamiętano o tym w każdym razie jeszcze na początku tego stulecia, kiedy byłem tam jednak w latach siedemdziesiątych i specjalnie się dopytywałem, nikt już nie wiedział o niczym. Co jednak sprawiało, że wskazywano na określone wzgórza i miejsca? Specjalny kształt? Może. Z pamięcią ludów dziwnie bywa. Przeważnie aktualizuje i przybliża w czasie – wszystkie dawne grodziska są zwane „szwedzkimi okopami”. A z drugiej strony Tadeusz Sulimirski w książce o Sarmatach opowiada, jak to w pewnej wiosce umiano wskazać wśród kurhanów ten, należący do księcia, co po przeprowadzeniu wykopalisk okazało się prawdą. A długie, długie wieki tymczasem minęły.

Co do smoków i dinozaurów, to jedne i drugie są już tak samo pod ziemią.

Wśród bohaterskich legend ludzkości poczesne miejsce zajmuje walka z potworem. To właśnie jest zasadniczym zadaniem herosa. Na smoka wyprawia się Gilgamesz, Tezeusz, Herakles, Geser-chan, Jazon, średniowieczny Beowulf i święty Jerzy. Takie jest bowiem zadanie, etos bohatera – walczyć z ogromem, utrzymać ludzki świat w średniej normie, sprawić, by nad małym ogródkiem spokojnie świeciło małe słońeczko. A więc trzeba było dokonać czynów nadludzkich w obronie przeciętności i jeszcze ponieść karę za nadludzkie czyny. Społeczność wyłania bohatera, a po spełnieniu zadania pozbywa się go – jakże wiele mówiący, prastary topos. Jego akceptacja legła u podstaw normy śródziemnomorskiej, czyli europejskiej. Ginie smok, przegrywa bohater, ale tęskni się za jednym i za drugim.

Czym właściwie jest smok? Od tego pytania zależy także, ku czemu zmierza rozumienie dinozaura. A więc czy smok jest tylko zwierzęciem? Zdecydowanie nie. Smok jest na swój sposób rozumny, smok ma własną mowę, zna sztukę czarnoksiężską i wygląda na pomniejsze bóstwo. Ale do boskich konotacji i zadziwiających transformacji współczesnych smoka wrócimy w innym miejscu. Wystarczy tu na razie powiedzieć, że smok należy do tych wcześniejszych, wyprzedzających człowieka mieszkańców Ziemi. Ze statusu smoka wysnuł przecież Lovecraft swoich przerażających „dawnych”.

Jakież to jednak dziwne. Próbująca racjonalizować świat nauka siedemnastego, osiemnastego, a w pewnej mierze i dziewiętnastego stulecia utrzymywała, że nigdy żadnych potworów nie było, że nie było w ogóle ani złotego, ani jakiegokolwiek innego wieku, że, ludzie, owszem, byli cnotliwymi prostaczkami, lecz nic ich przecież monstualnego nie poprzedzało. Legenda, a w pewnej mierze i religie sądziły inaczej. Powiadały, że był na ziemi olbrzym, że aniołowie kojarzyli się z córkami ziemskimi i byli za to karani, że były monstra, które nie przeżyły potopu, że jesteśmy tu późnymi przybyszami. Nawet Księga Rodzaju mówi, że w długości istnienia wyprzedzają nas rośliny i zwierzęta. A więc, że przed nami byli Inni. I że bywali wielcy i monstualni. Monstra, giganci wyprzedzają nawet świat olimpijskich bogów. I to bogowie wykonali krwawe oczyszczenie Ziemi z jej pierwotnych synów. A dlaczego właściwie pierwsi mieszkańcy Ziemi byli tak straszni i monstualni? Bo bliżej pierwotnego chaosu? W takim razie baśń, którą snuje o świecie współczesna fizyka, nie odbiega w istocie daleko od głuchych szeptów snujących się z lękiem w ziemiance czy namiocie pierwotnego praojca. (Gdyż przecież jest to nasz praojciec w najprostszej linii). I on właśnie łatwiej niż wysoko już ukształcony człowiek nowożytnej Europy przyjąłby relację o tym, że istniały dinozaury. On wierzył w tych Dawnych, w tych Innych, w tych Pierwotnych. On wiedział, że jest bratem swoich totemowych zwierząt. Skąd to wiedział? Dlaczego w to wierzył? Czy istniały jednak jakieś inne źródła wiedzy i rozumienia, o których my już dzisiaj nie mamy najmniejszego pojęcia? Pytanie, które rozśmieszy każdego uczonego, tak jak w swoim czasie rozśmieszyłaby go każda pogłoska o dinozaurze, o jakichkolwiek Innych. A tymczasem ci inni, te dinozaury były naprawdę.

Smok był więc, podobnie jak w tej chwili dinozaur, Obcym. Nie należał do aktualnego porządku natury i to nie tylko ze względu na wielkość ciała. Inne są nie tylko proporcje, inny jest pejzaż, zawartość tlenu w powietrzu, temperatura, roślinność. To ostatnie stwierdzenie jest tylko częściowo prawdziwe. Naturalne jest przecież tylko to, do czego przywykliśmy. A nienaturalny, obcy – to znaczyło nieprzewidywalny, groźny, z założenia niebezpieczny. Do dziś przecież największy jest strach przed nieznanym. Smok był wcieloną grozą. I dinozaur, gdybyśmy go spotkali naprawdę, przeraziłby nas do szpiku kości. Spotykamy go jednak w postaci żalostnej, sklejonego z fragmentów lub wyciśniętego z papierowej masy. I nie musimy go się już bać. I w tej postaci przywróconego światu poklepujemy po opasłym ogonie – oto my ostatecznie jesteśmy silniejsi! A więc fascynacja dinozaurom to także antidotum na prastary lęk przed smokiem, przed nieznanym, przed nienaturalnym, jeszcze silniej przeżywamy to wszystko, gdy już nie nieruchawa góra z gipsu czy plasteliny, lecz bystre słowo powieści lub taśma filmowa przywróci na chwilę pierwotną grozę, a potem ukaże, że i z tych obieży wychodzimy zwycięsko. A więc po prostu stara formuła litości i trwogi w nieco bardziej jarmarcznym wydaniu?

Czegokolwiek się jednak w sprawie dinozaurów tkniemy, wszędzie otrzemy się o sprawę lęku, strachu, grozy, trwogi i przerażenia. Ileż tu odcieni! Stanowczo nie doceniamy, jaką rolę odgrywało to uczucie w dziejach natury, w naszej własnej zapomnianej historii. To strach sprawia, że bezbronne zwierzęta roślinożerne tak źle śpią na swobodzie. Żyrafa podobno śpi zaledwie po kilka, kilkanaście sekund jednym ciągiem. Strach jest ukryty w najgłębszych, najstarszych i najpierwotniejszych ośrodkach mózgu, strach, nasz praojciec. Wyobraźmy sobie pierwotnego człowieka. Cóż go chroni, co może dać mu oparcie? Jego społeczność składa się zaledwie z garstki równie słabych jak on sam członków rodziny czy plemienia, jego dom to jakaś konstrukcja z kości i skór, lepianka, ziemianka, szałas w głębi grotu, kapiąca woda, podmuchy wiatru. Ale na zimno i deszcz znaleziono przecież sposoby. Znacznie nieznoszniejszym czynnikiem musiała być po prostu ciemność. Oglądałem Biskupin. Kiedy zapadała noc, tylko we wnętrzach kurnych chat tliły się mroczne ogieńki, może jakaś smolna i dymna pochodnia. I dookoła ciemność wręcz dotykalna, tuż za progiem. A było to już bardzo cywilizowane miejsce. A jak się można było czuć w społeczności stokrotnie mniejszej? Życie i serce cywilizacji to było parę chat, parędziesiąt osób, a na setki kilometrów wokoło żadnego schronienia, żadnej pomocy, żadnej ludzkiej istoty. Nas bronią granice, prawa, wojska, policje, pogotowia i apteki, sklepy pełne tłustych smakołyków, ciepłe ubrania i kołdry (do dziś nigdzie nie jest bezpieczniej niż pod kołdrą), lampy uliczne i mocne ściany naszych domów – odejmijmy sobie nagle to wszystko, wyobraźmy sobie świat pozbawiony tego wszystkiego. Nic dziwnego, że w niepoznawalnym i niebezpiecznym mroku kłębiły się dziwy rzadko tylko mu przychylnie.

Bo, oczywiście, człowiek radził sobie dzielnie z widzialnym światem, tak jak radzą sobie zwierzęta, choć są jeszcze biedniejsze od najbardziej pierwotnego człowieka – mają tylko ciało, które ciągle ktoś chce im odebrać. Ale był jeszcze świat niewidzialny. Tyle że my, uśmiechając się z wyższością, odmawiamy jego magii jakiegokolwiek rzeczywistej siły sprawczej. Bo niby znamy prawa rządzące światem. Ale czy naprawdę? A może to my zatraciliśmy czucie niewidzialnego, a może my nie widzimy tego, co widzieli oni. Nie wiemy wreszcie, jak daleko naprawdę sięga duchowość materii, natury, człowieka. Nasza znajomość spraw parapsychologicznych, aury, telepatii, teleportacji jest ciągle znikoma. Wiemy, że w społecznościach pierwotnych wiedza i moc szamanów nie jest tylko urojeniem, mamy relacje o przedziwnych sprawach nie pasujących zupełnie do naszej racjonalnej wizji świata. A więc, może oni te smoki, czymkolwiek by były, rzeczywiście widywali?

Bo sprawa identyczności legendarnego smoka i kopalnego dinozaura tak łatwo objaśnić się nie da, a jej zlekceważenie świadczy tylko o naszej bezradności w tej sprawie. Dinozaur i człowiek, wedle tego co wiemy, spotkać się nie mogli; dzieli ich dystans siedemdziesięciu



milionów lat. Oczywiście, mogło być i tak, że człowiek jest starszy, niż nam się wydaje. Ale aż o tyle? To raczej nieprawdopodobieństwo. Z drugiej strony bardzo rzadkie, bardzo nieliczne dinozaury mogły jednak przeżyć swoją epokę i jednak kilkanaście tysięcy lat temu dać się widzieć człowiekowi. A ponieważ były tak nieliczne ich szczątki, mogły się nie zachować lub nie być dotąd znalezione. Ale to raczej wątpliwe spekulacje.

Próbowano to wyjaśniać na jeszcze inny sposób. W 1924 monachijski paleontolog Edgar Dacqué wydał głośną książkę „Dawny świat, legendy i ludzkość”, w której twierdził, że sprawa polega na dziedzicznej, genetycznej pamięci gatunku. Ale z dinozaurami mogły się przecież stykać bardzo od nas oddalone, niewielkie ssaki, które, jak dowodzili bezwzględni krytycy Dacquégo, co najwyżej wyjadały jaja dinozaurom, z nimi samymi nie mając żadnej styczności. Cóż, człowiek jest mniejszy od góry, nie znaczy to jednak, żeby nie miał tej góry zauważać. Groza przed smoczo-dinozaurowym ogromem byłaby całkiem zrozumiała, natomiast sprawa z tą dziedziczną pamięcią jest trudniejsza, bo od tych naszych ssaczych przodków wielkości myszy, doprawdy, dzieli nas bardzo wiele. A jednak przecież nie tak dużo potrafimy powiedzieć o „nieświadomości zbiorowej” (czyli jak u nas często się mówi „podświadomości”), nie wiemy, skąd się ta „gemeine Unbewusstheit” wzięta, czym naprawdę jest, jaki jest w istocie sposób istnienia archetypów i jak się pojawiły. Już i do tego doszło, że wryśowanie archetypów w naszą świadomość miałoby być osobistym dziełem samego Boga... Czyli naprawdę nie wiemy nic, a Dacqué nie musiał być aż takim szaleńcem, za jakiego został uznany przez swoich współczesnych. Osobiście mam jeszcze jeden dość obłąkany pomysł, raczej ze sfery SF, ale o nim później. W każdym razie motywem przewodnim spotkania ze smokiem, a potem (?) dinozaurom był strach.

Także na trochę innej, uniwersalniejszej płaszczyźnie. Los dinozaurów, ich zagłada, kompletne wyginięcie i zagadka tej katastrofy nakładały się na prastary wątek katastroficzny w kulturze ludzkiej, znowu jedną z osobliwości, stanowczo za mało znaną i docenianą. Upadki imperiów, zagłada całych społeczności nie jest w ludzkiej historii rzeczą bajeczną. Klęska Troi leży u fundamentów naszej kultury i *nec locus ubi Troia fuit* – nie ma nawet miejsca, gdzie była Troja. Podobnie Niniwa, Babilon, Kartagina, samo cesarstwo rzymskie – przykładów jest bez liku. A klęski legendarne były jeszcze większe – Atlantyda, Lemuria, Mu. Wymiar historyczny łączy się tu z kosmicznym i klęską żywiołową. A stąd rodzi się lęk o własną przyszłość, lęk tak dobrze znany nam z dwudziestego stulecia, najpierw przed bronią nuklearną, teraz przed dziurą ozonową, równoległe przed siedmiuset siedemdziesięcioma siedmioma plagami ekologicznymi. A wielkie religie mówią o potopie, o płomieniach, które spustoszyły Sodomę i Gomorę, o „jaśniejszych niż tysiąc słońc” broniach Ramajany i Mahabharaty. Więc moralisci wszelkich odmian i autoramentu zapowiadają straszliwe kary boże, „jeśli ludzie się nie poprawią”. A że ludzie się nie poprawią, bo nie mogą, bo to nic nie znaczy, więc kary należy się spodziewać koniecznie. Mechanizm tego jest bardziej złożony i nie tylko negatywny. Rzecz zagrożona, jedyna, niezastępowalna rośnie bardzo w cenie, więc wizja zagłady generuje wartości (legendarna „ostatnia zapałka” w ciemnym, mokrym lesie). Czy byśmy się tak trzęśli nad jakimś chwastem – pierdlączką orzęsioną – gdyby nie to, że rośnie już tylko w jednym miejscu jakiegoś zagrożonego rezerwatu? A co rzadkie i zagrożone – jest pod ochroną. Więc jeśli rodzaj ludzki jest zagrożony, to może i on ochrony jest warty? Docenimy wszystkie radości dnia powszedniego, jeśli się okaże, że to dzień już ostatni. Jako zagrożeni dostępujemy uwznioślenia.

Otóż tajemnicza zagłada dinozaurów wynosi je ponad kondycje jakiegoś tam mniejszego czy większego zwierzaka, dokonuje owego uwznioślenia, swoistej nobilitacji. Dinozaur zaczyna budzić ciekawość właśnie dlatego, że zginął. Podobnie kultura i religia żydowska interesowały w Polsce bardzo niewielu, dopóki Żydzi stanowili liczną i nie zagrożoną niczym część społeczności. Kiedy zaś dotknęła ich Shoah, sytuacja obróciła się o sto osiemdziesiąt stopni: budzą zaciekawienie, coś jakby święty lęk, są modni, stają się przedmiotem studiów.

Nie może być dziś kulturalny ten, kto nic nie wie o upadku Jerozolimy, o księdze Zohar, o Misznie, Gemarze, Lurii, kto nie czytał Martina Bubera... A przynajmniej ten, kto koszernej wódki nie pija.

Więc podobnie ten kiep, pacan i fujara, kto nie odróżni stegozaura od pterodaktyla i nie wie, że apatozaur nazywał się do niedawna brontozaurem, a triceratops nie jadał mięsa. Gdyby żyły, to mimo ich ogromu byłyby inaczej: kto docieka, czym żywi się nosorożec? Zagłada dinozaurów daje nam ten niezbędny dreszczyk grozy, może nie w najlepszym gatunku, ale przecież jakże ceniony i pożądany. Oczywiście, w kręgach nieco bardziej elitarnych to także ma bardziej złożone i subtelne wykładnie.

Są jednak inne jeszcze wątki kultury masowej, jawne i bardziej podskórne, które sprawiły, że dinozaur pojawił się w samą porę, zrobił gigantyczną karierę i wszystko wskazuje, że ma przed sobą znaczniejszą jeszcze przyszłość. Jak wiemy, w potocznym nazewnictwie dinozaur to dawny „wielki”, już niby zapomniany, ale tak naprawdę nie zapomniany. W tym sensie „dinozaury” to piłkarscy oldboye, to powracające nagle na estradę dawne sławy piosenkarskie i muzyczne, to w ogóle weterani, ale bardzo wysokiej próby. Ciekawe, że przed wojną wielką arystokrację kresową nazywano „żubrami”. Ten sam szacunek do prawie już wytrzebionego a ogromnego zwierza. Ale przywoływanie różnego rodzaju wielkiej zwierzyny ma znaczną tradycję językową. „Słoń w składzie porcelany” nie wyraża specjalnej admiracji, ale już „słodki niedźwiedź”, „prawdziwy tygrys” czy lew – jest to z reguły samiec otoczony podziwem (choć w sformułowaniu „wspaniały rogacz” zazdrości i ekscytacji mniej trochę) – to już dowody ustawicznej projekcji świata ludzi na rodzinę zwierząt. W wielkiej księdze podobieństw ludzko-zwierzęcych dinozaur otrzymał swoje miejsce, ale jest to miejsce niejednoznaczne.

Ten kolos, dinozaur-smok jest też na ogół kolosalnym „macho” – wcieleniem brutalnej, mało subtelnej męskości. Tu należy powrócić do postawionego poprzednio pytania: a właściwie dlaczego smok lubi dziewice? No, pewnie, można powiedzieć, bo jest symbolem zła, a dziewica symbolem czystości. Ale to raczej wykręt. Podejrzewam, że smok potrzebował pierwotnie dziewic bynajmniej nie do jedzenia, podobnie jak mężczyzna nie zabiera się do dziewczycy z nożem, łyżką i widelcem. Ale smok, podobnie jak inne legendarne bestie z dziedziny groźnej, rytualnej, nocnej opowieści trafił do świata kołysanki i baśni dziecięcej, trzeba było więc zastosować jakąś wykładnię eufemistyczną i „konsumowanie dziewicy” zaczęło rozumieć dosłownie.

Co prawda między kobietą, nawet bardzo bujną, a smokiem są niejaki różnice gabarytu i sama rzecz mogłaby się wydawać nonsensowna, ale wszystko dzieje się przecież w sferze bajecznej i nie trzeba się nawet odwoływać do sprośnych dowcipów o ułanie, który konia szukał, by nie zrażać się taką błahostką. Co więcej, romans między Piękną a Bestią ma już różne legendowe i artystyczne precedensy, by poprzestać na samym tylko Girodoux. Co prawda, po odczarowaniu bestii może się z niej wyłonić piękny książe, ale któż naprawdę wie, co się może wyłonić ze smoka czy dinozaura? A nawet warto pamiętać, że smoki pojawiały się w ludzkiej postaci. Tu się przypomina zabawna nowelka Ursuli le Guin o smoku w ludzkiej postaci, który na widok dziewczycy nabrał apetytu i zaczął się przemieniać w potwora, i narzeczonym tejże, który wywiózł ją błyskawicznie w ukryte miejsce, by – jak się można domyślić – sprawić, że nie będzie już dłużej kandydatką na smoczą potrawę. Co zresztą taktownie autorka zostawia domyślności czytelnika. W jakim stopniu dinozaur dziedziczy po smoku ów domniemany „machizm”? Kiedy na filmie tyranozaurus ściga pędzący samochód, nikomu nie przychodzi do głowy, że to samica, choć tak właśnie jest w filmowej rzeczywistości...

Wreszcie motyw teologiczny. Wśród bohaterów walczących ze smokiem był i święty Jerzy, co prawda skreślony już z rejestru świętych (ale smoka przy okazji nikt nie skreślił!), ale będący przecież i tak jedynie prefiguracją świętego Michała walczącego z szatanem, też na

ogół przedstawianym w postaci smoka. Czyli dinozaur wynurzający się z mroku ziemi, strażnik tajemnic, wróg rodzaju ludzkiego to jeszcze jeden nawrót koła legendy, obleśny ogrom-wcielenie grzechu, prastary Lewiatan, sytuacja wręcz już liturgiczna. Ów Belial wyłaniający się z kierunku piekła musiał dla protestanckiej starotestamentowej wyobraźni wielkiej części Amerykanów mieć świadomie lub podświadomie i takie znaczenie. Nie mówiąc o tym, że od dawna już wykopywane kości rozmaitych „potworów” były uważane za potwierdzenie Pisma Świętego jako rzekomy dowód prawdziwości opowieści o potopie. Co prawda, były to na ogół kości późniejsze, mamuta, takie jak te, wiszące majestatycznie u wejścia do katedry wawelskiej, ale przecież nikt o tym nie wiedział. Może i to częściowo objaśnia współczesną amerykańską fascynację dinozaurem.

Jeśli idzie dokładnie o Stany Zjednoczone, to z pewnością można wymienić jeszcze jeden składnik obecności tej bestii geologicznej w świadomości masowej. Zważmy, że Ameryka, jako kraj względnie młody, jak to jest zawsze w tego rodzaju przypadkach, ma wielką potrzebę poszukiwania swej tożsamości i zakorzenienia. Indiańska tradycja została przecież odrzucona, inaczej niż się to dzieje w Meksyku. Trzeba więc było sięgnąć do czegoś dawniejszego, sprzed czasów indiańskich. Wykopaliska i propagowanie ich owoców doskonale się do tego nadają. Ameryka nie jest pod tym względem wyjątkiem – podobnie przecież postępuje się w Republice Południowej Afryki, gdzie także przez cały wiek dwudziesty władze niezmiernie skrupulatnie opiekują się wykopaliskami i badaniami paleontologicznymi. Troski takiej dostąpili Broom, Dart i wielu innych, łącznie z odkrywcami żywej skamieniałości, ryby trzonopłetwej albo latimerii. Podobnie archeologiczne szukanie dawnej tożsamości odbywa się w Izraelu, a bodaj i w innych krajach. Ale to już chodzi o historię czysto ludzką. W każdym razie można sobie wyobrazić ładniejsze zastosowanie odkrywczej myśli ludzkiej niż kierowanie jej przeciw Indianom, Zulusom, Arabom, Polakom czy Anglikom, czy zresztą przeciw komukolwiek.

Grunt na przyjęcie dinozaura był więc wielorako przygotowany. Podstawą tego była identyfikacja ze smokiem i tu już wrota uchylały się rozległym skojarzeniom. Przez te wrota wionęła prastara trwoga, *deimos kai foibos*, lęk towarzyszący wszystkim istotom od stworzenia świata. Ale i triumf nad smokiem – szatanem, oswojenie zła i ustawienie jego wyobrażenia na strzyżonym trawniku gwoli dziecięcej uciechu. A zarazem było to wyzwanie dla bohaterów, świadectwo ewolucji dla racjonalistów i potopu dla fundamentalistów, napomnienie o katastrofie, dowód zakorzenienia we własnym kraju, wreszcie obezwładniony potwór i kaleki błazen w jednej osobie, któremu się można bezpiecznie dziwować. A zarazem roić sobie bliskie sadyzmowi erotyczne dreszczyki.

Potwór zrodzony z pioruna, potwór–piorun po długim pobycie na głębokościach, w płomienistej i lodowatej czeluści Ziemi, wskrzeszony wyłania się znowu, robi karierę, dostępuje coraz większej nobilitacji. Może nawet zostanie dosłownie wskrzeszony i wtedy historia może przybrać obrót nieoczekiwany. Cztery konie Apokalipsy to będą z pewnością dinozaury.

## Zmartwychwstawanie po kawalku

Instykt grzebania w ziemi właściwy kurom, myszom i borsukom nie mógł być obcy spadkobiercy neolitycznych i późniejszych cywilizacji rolniczych. Toteż każdy chłopiec ze skrawkiem ogródka i łopatą draży śmiałą sztolnię, by ujawnić skarby niezmierzone. Jeśli przypadkiem odgrzebie własną zabawkę sprzed paru lat albo drobną monetę, która już wyszła z obiegu, to przyswaja sobie pierwszą zasadę archeologii: im dawniej, tym głębiej. Co zresztą jest tylko zasadą ogólną, o wielu odstępstwach. W każdym razie ludzkość kopała w ziemi od czasów niepamiętnych i znajdowała przy tym różne rzeczy; zdarzały się i kości, może i dinozaura, ale przeważnie poczytywano je za szczątki potężnych herosów z przeszłości.

Najbliżsi prawdy byli Chińczycy, którzy mają wspaniałe tradycje archeologiczne i paleontologiczne, w tym ostatnim przypadku związane z praktycznym celem. Otóż poszukiwali oni z całą świadomością kości smoków, pełni wiary w ich medyczne, po sproszkowaniu, właściwości. Co trwa bodaj i do dzisiaj.

W Europie dochodzenie prawdy o naturze i przeszłości Ziemi trwało długo i po paru tysiącleciach, w wieku osiemnastym, właściwie nie tak daleko odeszło się od punktu wyjścia. Naprawdę to wiek dziewiętnasty dokonał pracy olbrzyma. Właściwie we wszystkich zakresach nauki, w paleontologii jednak ogrom dokonań jest szczególnie widoczny. Historia paleontologii jest sama przez się niezwykle barwną opowieścią, pełną przygód, pomyłek, dramatów i komedii. Bardzo ciekawie wyłożył ją Herbert Wendt, niemiecki popularyzator, w trzech pokaźnych dziełach „Szukałem Adama”, „Śladami Noego” i „Przed potopem”, mało już pamiętanych, gdyż książki te ukazały się w Polsce mniej więcej ćwierć wieku temu. Od strony faktograficznej właśnie jemu zawdzięczamy szczególnie wiele w tym rozdziale, chociaż, co zrozumiałe, z większą dokładnością przedstawiał dokonania własnej ojczyzny.

Rzecz jednak w tym, że nie da się wyselekcjonować jednej tylko gałęzi wiedzy i rozwijać jej w izolacji od innych. Gdybyśmy nawet wykopali kości dinozaura przed stuleciami, to bez wielu pomocniczych nauk nie potrafilibyśmy ich złożyć, wyobrazić sobie, do jakiej istoty należały, ani znaleźć dla niej jakiegoś dorzecznego miejsca w historii przeszłości. Izolowana od wszystkiego żarówka w epoce łuczywa ani nie mogłaby zaświecić, ani nikt by nie pojął, do czego służy. Dlatego historia paleontologii jest nierozłącznie związana z geologią, biologią, chemią, anatomią i tak dalej. Nie ma ani możliwości, ani sensu przedstawiać wszystkiego.

Łatwiej chyba było odkryć skamieniałe ślady morza, pewnie dlatego, że jest ich wiele i że muszle łatwo rozpoznać, choć to oczywiście tylko jedna z licznych form skamieniałości. Wszędzie w Europie było kiedyś morze wydźwignięte następnie w góry, w szczyty i przełęcze. Choć nie wszyscy w to wierzyli. Arcymądry Wolter opowiadał głupstwa o znalezionych w górach muszlach: że pewnie pogubili je zmierzający przez przełęcze pielgrzymi ze swoich kapeluszy. Ale już długo przed nim znaleźli się badacze bardziej przenikliwi. Byli wśród nich już w starożytności Anaksymander, Strabo i Pliniusz, był w czasach znacznie nowszych Leonardo da Vinci. Byli i inni.

Rzecz jednak w tym, że przez całe średniowiecze i właściwie po wiek dziewiętnasty niepodważalna była biblijna historia o potopie, dopóki jej stosunkowo niedawno nie ograniczono do jakiejś wielkiej, lokalnej powodzi w Mezopotamii. Rzecznicy tej teorii, czyli przez długi czas wszyscy, uważali, że morskie skamieniałości zostały wyniesione na góry właśnie przez potop, a na dodatek wierzyli, że istniały inne formy życia, właśnie przez potop unicestwione.

Co prawda, uczeni owych odległych czasów zapatrzeni w autorytety starożytne i biblijne widzieli przeszłość cokolwiek osobliwie, jak znakomity skądinąd Atanasius Kircher, który pieczołowicie wyliczał, że istniały w przeszłości cztery różne odmiany olbrzymów.

Przy innej okazji wyliczono, że potop miał miejsce dokładnie w roku 2306 przed naszą erą. Johann Scheuchzer odkrył nawet kości „przedpotopowego grzesznika”, którym okazał się szkielet salamandry, innym razem toczono zaciekły spór, czy określone wykopalisko to resztki człowieka czy ryby, a po latach okazało się, że to ichtiozaur. Poszukiwano także bądź to smoków, bądź jednoroźców, a nawet usiłowano z przeróżnych wykopaliskowych kości położyć te stwory. Przy czym teoria potopu i tak była znacznym krokiem naprzód. Konkurowała bowiem z nią teoria, że wszystkie skamieniałości są wynikiem jakiejś szczególnej „siły plastycznej” i owa „vis plastica” jest w stanie przenieść w wizerunek skalny wszystko. Najślawniejszy skandal dotyczył już w 1726 profesora Jana Bartłomieja Adama Beringera z Würzburga, któremu złośliwi żartownisie podrzucali różne sztuczne, wypalane z gliny wykopaliska, aż po tabliczkę z jego własnym nazwiskiem zapisaną tam rzekomo przed wiekami... Rozważano możliwość istnienia różnych „nasion skalnych”, to znów „nasionnego powietrza”, wierzono, że stare kamienie rodzą nowe kamienie, słowem dyskutowano tak, jak my o UFO, czyli nikt nic nie wiedział.

Łatwo sobie pokpiwać po latach, gdy byle uczeń gimnazjum wie więcej niż zdołał przewidzieć największy geniusz przeszłości. W istocie należy podziwiać tych ludzi, którzy ze swoim marnym oświeceniem, brakiem informacji i narzędzi badawczych przedzierali się przez spiętrzone zagadki. A cały świat wówczas był albo zagadką, albo wiarą. Pamiętajmy jeszcze, że zbiorów było mało, były rozproszone, niełatwo je było obejrzyć, zestawzić ze sobą, porównać, trzeba więc je było uzupełnić i zgromadzić. Tak też czyniono w Paryżu, Londynie, w różnych miejscach Europy. Na razie mało w tym było naszego dinozaura: ten miał spać głębiej pod ziemią jeszcze jakiś czas, już nie za wielki.

Trzeba było jednak, by przedtem wielki Karol Linneusz stworzył systematykę wszystkiego, co żyje, by zainicjował nową geologię Jean Etienne Guettard, odnowiciel paleontologii, by po nim zabłysła w Paryżu i Europie gwiazda wielkiego przyrodnika George Louis Leclerca, hrabiego Buffon (tego od powiedzenia „styl to człowiek”), autora „Historii naturalnej” i „Teorii Ziemi” (1750), człowieka, który przewidział ewolucję i pierwszy chyba sformułował pogląd, że Ziemia istnieje znacznie dłużej niż biblijne kilka tysięcy lat. A już powszechnie zaczęto rozumieć, że dwa zasadnicze czynniki rozwoju to woda i ogień. Zaczynało się powoli w systemie wiedzy, natury i po prostu w głowach ludzkich robić miejsce dla tej ogromnej przepaści czasu i różnorodności istot Ziemi, bez której wszystkie wykopaliska musiały wisieć w próżni. Na dodatek wszystko to działo się w ostrym konflikcie z cenzurą kościelną, która bardzo pilnowała, by nikt nie podważył prawdziwości twierdzeń biblijnych, w myśl których nie można było mówić o długim wieku, o ewolucji, o tym, że nie wszystko widocznie zostało stworzone w raju, ale „samo” narodziło się stopniowo itd. Oczywiście, że takie wąskie rozumienie Pisma mogło przynieść jedynie szkody. Podobnie i dzisiaj, kiedy chce się postawić tamę badaniom seksuologicznym, proponuje się wizję człowieka z krwi, kości i fizjologii, który jednak tylko między nogami nie ma normalnego ciała, a zamiast niego mroczny grzech. Tymczasem współczesny człowiek nie może zrozumieć, że wolno rozwijać sztukę kulinarną, też przecież poświęconą przyjemności zmysłowej, a erotycznej już nie. Ascezę może praktykować każdy i ma to wielki sens moralny, lecz nie wolno też nikomu narzucać jej w sposób sztuczny innym. Myślę, że o tym wiedziały już dinozaury.

A właśnie zbliża się ktoś, kto je bodaj połowicznie nazwie. To George Cuvier, niedoszły teolog, współczesny rewolucji francuskiej i burzom epoki napoleońskiej, prawodawca całej epoki biologii i wreszcie francuski dostojnik. Cuvier stworzył podstawową dla paleontologii zasadę korelacji, która mówi, że wszystkie organy są ze sobą związane. Na tej podstawie z zęba, z ułamka kości można wyprowadzić wygląd całej reszty organizmu. Tak więc po ro-

gach i kopytach można poznać, że było to zwierzę roślinożerne (skąd wyciągnięto wówczas i ten wniosek, że diabeł, jako rogaty i kopytny, żywi się trawą i jest istotą nieszkodliwą). Roślinożerne mają zęby tępe i zwarte, a mięsożercy stożkowate, łatwo więc je rozróżnić. Pamiętajmy tedy, by zawsze podejść do zwierza i skłonić go do rozwarcia paszczy – jak zęby pierwszego typu, to krowa, jak drugiego – to lew.

Cuvier był wirtuozem identyfikacji kopalnych zwierząt, twórcą pierwszej chronologii i ostatecznie także anatomii porównawczej. To Cuvier w pierwszej epoce Ziemi umieścił amonity i belemnity, a to była ziemska starożytność. W epoce drugiej, w średniowieczu, panowały jaszczury, w trzeciej – trzeciorzędzie – ogromne ssaki, a w czwartorzędzie człowiek i fauna współczesna. Ale przejścia między nimi nie były łagodne, ewolucyjne, lecz za każdym razem właściwą faunę danego okresu zmiatała z powierzchni Ziemi wielka katastrofa. Był to więc sławny katastrofizm, od którego Cuvier nie chciał nigdy na włos odstąpić, a za którym stało to, że nie znajdowano form pośrednich. Katastrofizm panował w myśli biologicznej długie lata i chociaż w tej rozciągłości należy już do historii, to przecież pytanie o wielką katastrofę, która ewentualnie unicestwiła dinozaury, czy później mamuty, ciągle pojawia się na nowo.

Cuvier dość paskudnie zapisał się w sporze z innym wielkim biologiem działającym współcześnie w Paryżu, Janem Baptystą Lamarkiem, twórcą wstępnego zarysu teorii ewolucji. Cuvier prześladował go i wręcz unicestwił, chociaż to właśnie Lamark miał rację w tym sporze. Ale Cuvier potrafił z rozsypanych gnatów wyczarować zmarłe przed milionami lat zwierzę, opisać je i nazwać. To właśnie on nazwał wielkie gady przeszłości jaszczurami – *sauros*. Był to najpierw proterozaur, potem mozazaur i wreszcie pierwsze autentyczne już dinozaury: drapieżny, o strasznych pazurach, rozszarpujący swe ofiary żywcem megalozaur i kaczodzioby iguanodon. Tak więc pierwsze dinozaury, jeszcze bez swojej pełnej nazwy, ale już jako jaszczury, wyłoniły się z ziemi. Ale gmach stosownej nauki nie był jeszcze gotów i początkowe skutki były nieco śmieszne. Otóż zapanowała moda na rysunkowe, malarskie i rzeźbiarskie rekonstrukcje wielkich jaszczurów, ponieważ jednak nie zdawano sobie dobrze sprawy z chronologii, ukazywano w walce ze sobą stworzenia odległe od siebie o całe miliony lat. Gady jurajskie walczyły z kredowymi. To tak, jakby w odniesieniu do historii ludzkiej nowożytni walczyli ze starożytnymi, Aleksander Wielki staczał pojedynki na maczugi z Hitlerem, a pod Grunwaldem Piłsudski prowadził do natarcia batalion czołgów. Kompozycje te zappełniły stare albumy paleontologiczne i cały ten galimatias przetrwał po części w naszej wyobraźni.

Z Cuvierem tak czy inaczej wiążą się coraz bogatsze wykopaliska z pierwszych dziesiątków lat dziewiętnastego wieku. Z czarnych łupków jurajskich z Niemiec i Anglii wygrzebuje się pierwsze ichtiozaury, rybojaszczury, potem pleziozaury z długimi szyjami, teraz też pojawia się, a właściwie zostaje zidentyfikowany pterodaktyl, „latający palec”, nietoperzowaty latający smok, późniejszy bohater licznych powieści fantastyczno-naukowych, z niemieckich wykopalisk z Solnhofen. Wszystko to trafia do Paryża, do Cuviera. Ostatni wielki bój, przegrany, rozgrywa się w roku 1830 i dotyczy teleozaura, prakrokodyła. Rozwija się cały rynek skamieniałości, traktowanych jako pamiątki, ale już także jako eksponaty muzealne. Wręcz dziecięca ciekawość początku epoki najnowszej każe zadawać ziemi i przyrodzie coraz to bardziej dociekliwe pytania. To tak, jakby bielmo powoli schodziło z oczu. Fundamentalne prawdy, odkryte w pierwszej połowie dziewiętnastego stulecia, a stanowiące już dzisiaj dla nas oczywistość, budziły popłoch, zdumienie, a nawet zgorszenie.

Całkowitą odmianę wyobrażeń przyniosło odkrycie epoki lodowej, która zastąpiła biblijny potop. Było to dziełem wielu ludzi, przede wszystkim Szwajcarów, a zaczęło się od badań nad eratykami, czyli głazami narzutowymi. Wydawało się dziwne, aby przeniosła je woda, zaczęto więc rozmyślać o krach lodowych, a potem o lodowcach. Początkowo sądzono, że okres lodowy ograniczył się do terytorium Alp, wielki bowiem (i właściwie zrozumiały) opór

budziła myśl o powszechnym chłodzie. W końcu opór dyluwialistów, czyli zwolenników teorii potopu, pokonał ostatecznie wielki Louis Agassiz, Szwajcar, później wykładowcą w Stanach Zjednoczonych. On właśnie zrozumiał, że epoka lodowa polegała na lodowcach spływających z gór. Co prawda, z tą teorią konkurowała teoria dryfu, w myśl której to ocean północny przynosił ze sobą gigantyczne góry lodowe.

Zwolennikiem jej był, także bardzo wybitny, ojciec geologii nowożytnej Karol Lyell, którego „Zasady geologii” (1830) stały się fundamentem współczesnej nauki. Jest on twórcą teorii aktualizmu, w myśl której wszystkie siły działające w przeszłości wywierają swój dowolny wpływ i teraz. Sama teoria dryfu odeszła w końcu w niepamięć.

Problem lodowców stał się odąd jednym z centralnych zagadnień nauk o Ziemi. Wyjaśniło się, że epok lodowych było wiele, że to nie jest tak, że kiedyś Ziemia była cieplejsza, a teraz jest chłodniejsza. Jedna z epok lodowych była już pięćset milionów lat temu, w prekambrze, inna – trzysta pięćdziesiąt milionów lat temu, w sylurze. W okresie permskim, dwieście czterdzieści milionów lat temu, także przyszło zlodowacenie, bardzo istotne dla nas, gdyż otworzyło epokę dinozaurów, inne zaś, kredowe, siedemdziesiąt milionów lat temu definitywnie ją zamknęło. Epoka ostatnia skończyła się ledwie kilkanaście tysięcy lat temu, a może nawet wcale nie skończyła się jeszcze. Istniały przecież za każdym razem okresy ocieplenia, kiedy lodowce cofały się na północ, a klimat zmieniał się na życzliwszy, niekiedy wręcz na tropikalny. Były to interglacjacje i jest bardzo możliwe, że właśnie w takim interglacjale żyjemy.

Widzimy już, w jakim kierunku odmień się wizja świata. Początkowo sztywna, hierarchiczna, nieruchoma zdawała się świadczyć, że wszystko jest niezmiennie od początku świata, a nad niezmiennym światem panują równie niezmiennie zasady. Trzeba było wielkiej ilości badań szczegółowych, aby stwierdzić, że jest właśnie najzupełniej odwrotnie, że wszystko wrze, kipi, pędzi, zmienia się bez ustanku, a jedynie my, żyjąc w naszym własnym, jak widać, opieszalym czasie, nie jesteśmy w stanie tego dostrzec. Ta wielka zmiana w widzeniu świata doprowadziła nas samych do zupełnie innych wyobrażeń o wszystkim, o nas samych i o naszych dinozaurach.

Może i najważniejszą postacią, jeśli idzie o rozwój naszej świadomości, był Karol Darwin, dziś spoczywający w katedrze westminsterskiej, niedaleko poety Eliota, człowiek wierzący, z którym kościoły toczyły beznadziejną i przegraną batalię, najzupełniej zresztą niepotrzebnie. Darwin, biolog i teolog zarazem, nową wizję świata natury zyskał podczas sławnej podróży dookoła świata na statku „Beagle”, z której znowu najbardziej owocny był pobyt na wyspach Galapagos. Darwin zrozumiał jedność przyrody, pokrewieństwo wszystkich istot. Po powrocie zamieszkał na wsi w cudownym hrabstwie Kent i przez piętnaście lat pracował nad dziełem „O pochodzeniu gatunków” (1859). Jedne istoty dają początek innym, odmiennym, a motorem przemian jest „walka o byt” i „dobór naturalny”.

Dzieło wywołało istną rewolucję, wzmoczoną jeszcze książką następną, w której Darwin sprowadził do świata przyrody samego człowieka. Teoria Darwinowska w zasadzie przyjęta przez wszystkich jest od stu lat rozbudowywana, dyskutowana, zmieniana i ciągle jeszcze pewnie nie ma postaci ostatecznej. Ale dla paleontologii stanowiła ona to ostateczne uzasadnienie, schemat, w który można wpisać wszelkie rozsądne, ale i szalone propozycje. Bo po tym wszystkim właśnie paleontologia doczekała się w drugiej połowie stulecia prawdziwej eksplozji. Cała przestrzeń historii naturalnej staje się przedmiotem eksploracji. Od sylurskich mórz po jaskinie epoki lodowej, przyroda, człowiek prehistoryczny odsłaniają swoje oblicze. A przypomnijmy, że równocześnie trwają zaciekle badania archeologiczne dotyczące minionych cywilizacji ludzkich. Nagle otoczył nas gąszcz wszelakich widm i widziadeł, wyrzwały z grobów szczątki królów greckich i babilońskich, wypłynęły na światło gigantyczne niedźwiedzie jaskiniowe i tygrysy szabłozębe, odezwały się zapomniane instrumenty, błysnęły diade-

my i monstualne piszczele. Wśród nich zaś najpotężniejszy, budzący najwięcej zdumienia i komentarzy ród dinozaurów. To teraz otrzymały swoje pełne imię od Richarda Owena, wielkiego angielskiego znawcy gadów, przyjaciela Darwina, a potem jego nieprzejednanego przeciwnika. To on w 1841 wymyślił nazwę *Dinosaurus*, czyli „straszny jaszczur”, nazwę, która podobnie jak jej przedmiot zrobiła olśniewającą karierę i choć się naukowcy bardzo na nią krzywią, przecież jest używana i dzisiaj.

A tymczasem coraz bardziej rozwijają się wykopaliska. Do najważniejszych należy odkrycie koło kopalni węgla w Bernissard w Belgii w roku 1878 szczątków kilkudziesięciu dinozaurów, iguanodonów, do dziś największego wykopaliska dinozaurowego w Europie. Opracował je znakomity uczony belgijski Louis Dollo, poza tym twórca niezmiernie ważnej doktryny Dolla, o tym, że ewolucja jest nieodwracalna, że raz zgubionych w toku dziejów cech i organów nie da się już przywrócić. Równocześnie uczeń Darwina Thomas Huxley docieka pochodzenia ptaków; wywodzą się właśnie z dinozaurów, ale nie z latających pterodaktyli, lecz z dwunogich form *Pseudosuchia*. Koło Solnhofen odkryto inne stworzenia, wśród nich homeozaura i ślady jego walki ze śmiercią odcisnięte na łupkowej płycie: zalewany mułem podskakiwał w górę aż do kresu. W Ameryce odkrywa się latającego pteranodonta o siedmiometrowej rozpiętości skrzydeł, toczy się między zbieraczami zaciekle batalia o skamielinę archeopteryksa, przodka ptaków, wydobywa się przodka przodków, ornitozucha, formy wielkie i małe. Ale centrum poszukiwań przenosi się do Ameryki.

Przyszłe centrum światowej paleontologii zaczynało z wolna. Byli najpierw zbieracze osobliwości, byli wydrwigrosze prezentujący pseudowykopaliska, ale już w 1860 wykopano pierwszego hadrozaura. Dzięki rywalizacji uczonych, wzajemnym wojnom podjazdowym, dumie narodowej i wielkim pieniądząm paleontologia zajęła stopniowo w Ameryce takie miejsce, jak szachy w dawnym Związku Radzieckim. I dziś całkiem serio się mówi, że paleontologia była jednym z najpoważniejszych stymulatorów kultury amerykańskiej. Trzeba od razu dodać, że kopano głównie na Dzikim Zachodzie, że wiązało się to z budową kolei, romantycznymi wyprawami, walkami i przymierzami z Indianami. Było w tym więc coś z Karola Maya. A dwóch wybitnych zbieraczy, Cope i Marsh, przydali do tego niepowtarzalną atmosferę „Zemsty” Fredry.

Obaj, Edward Drinker Cope i Othniel Marsh, byli ludźmi zamożnymi, Marsh był siostrzeńcem multimilionera Peabody'ego, obaj otrzymali wielostronne wykształcenie i obaj byli szaleńcami. Cope zajmował się paleontologią już od dziecka. Cope jako młody profesor prowadzi pierwszą wyprawę do Kansas, wykopuje mezozaura i plezjozaury, orientuje się, że Ameryka posiada bogate złoża kości. Swój dom zamienia na gigantyczną składnicę. Wdaje się w konflikt z potężniejszym Marshem, który z kolei podkupuje go, prawem i lewem wdziera mu zbiory, sam zresztą dokonując odkryć na wielką skalę. Oczywiście, nie poprzestają obaj na dinozaurach, ale te stanowią lwią część ich prac. Obaj starali się odkopać, wykupić, złożyć w całość, opisać i nazwać jak najwięcej okazów. Zdarzały się i gafy: Cope jednemu z okazów przymocował głowę do końca ogona, bo mu się pomylił z szyją...

Szczególnie tocząc tzw. bitwę o kości – *battle of bones* w 1877 roku angażują opinię publiczną, sądy, w końcu i senat Stanów Zjednoczonych. W ten sposób chcąc niechcąc sprawiają, że sprawą wykopalisk pasjonuje się cała Ameryka i na terenie całego kraju wyrastają muzea paleontologiczne, rezerwaty, że naucza się tej nauki w szkołach, pisze o niej w gazetach. Kiedy rozpoczynali swą działalność, było w Ameryce znanych niecałe dziesięć gatunków dinozaurów, kiedy wreszcie przegrawszy ostatecznie obaj umierali na samym schyłku stulecia było ich już niespełna sto pięćdziesiąt... Pozostawili rozbudzoną ciekawość opinii publicznej, gigantyczne zbiory, uczniów, nowo odkryte rodzaje jak *Brontosaurus*, *Atlantosaurus*, olbrzymy nie znane dotąd światu. Marsh odkrył w Forte Laramie jeden z największych na świecie cmentarzy dinozaurów. Brontozaur miał dwadzieścia siedem metrów długości, stegozaur zadziwiał podwójnym mózgiem i pancerzem.



Po ich śmierci dalszych, wspaniałych odkryć dokonał uczeń Cope'a, Henry Fairfield Osborne wspierany przez multimilionera Andrew Carnegie zakładającego muzeum w Pittsburgu. W 1915 powstaje w Utah rezerwat Dinosaur National Monument, wielkie cmentarzysko dinozaurów. W Montanie spod ziemi objawia się *Tyrannosaurus rex*, wygrzebany przez Barnuma Browna rozślawionego z kolei przez swoją żonę autobiograficzną książką „Poślubiłam dinozaura”. Barnum prowadzi także wyprawę do Indii, w Sziwaliki. T. E. White wykopuje w Teksasie sejmurkę, jednego z najprymitywniejszych gadów.

Pole poszukiwań rozszerza się na cały świat. W Afryce Południowej sanktuarium okazuje się pustynia Karroo, gdzie zostają między innymi odnalezione ssakokształtne gady teromorfy; z Afryki Południowej Robert Broom przywozi jeszcze bardziej ssacze iktidozaury, z Mongolii i Chin pojawiają się późne dinozaury kredowe i wreszcie niezwykłość – jaja dinozaurów kopie się w Europie, Afryce Północnej. Herbert Wendt opisuje kilkudziesięcioletnią epopeję odnalezionych licznie i w wielu miejscach odcisków, które uczeni całego świata próbują zidentyfikować – w końcu okazuje się, że to też gady, *Pseudosuchia*. Dinozaury okazują się grupą gadów, która panowała na całym świecie i to nieskończenie długie miliony lat. Znajduje się je w miejscach nieoczekiwanych.

Niedługo po wojnie znany malarz Antoni Michalak kopał studnię w swojej willi kazimierskiej, wysoko na górze pod basztą. W Kazimierzu na tych wzgórzach nie ma wody i studnie są ogromnie głębokie. Otóż ekipa studniarska przebiła się tu przez grzbiet i brzuch jakiegoś wielkiego jaszczura (zapewne) ugrzęźłego głęboko w wapiennej skale i jeszcze bardzo głęboko musiała drażyć, zanim dotarła do upragnionej wody. Ale, jeśli wolno wtrącić, Kazimierz ze swoimi starymi zamkowymi murami, płataniną skąpanych w zieleni wąwozów, osobliwym mikroklimatem przypominającym śródziemnomorski jest miejscem szczególnym, gdzie można się spodziewać nie tylko truchła mozazaura, ale nawet zatajonego w jakimś bocznym wąwozie smoka. Sama Wisła widziana z wysokości baszty, w pogodny dzień przypomina jakiegoś wielkiego węża czy potwora rozciągniętego niedbale wśród piaszczystych łąk i zielonych wiklin. Podobieństwo rzek (boskich wedle Eliota) do żywych, gigantycznych istot szczególnie mocno daje się odczuć w Belgradzie, jeśli z wysokości starej twierdzy Kalemegdan spogląda się, jak majestatycznie Drawa łączy się z Dunajem. To jest też tak właśnie żywo odczuwalne smoczo-dinozaurowe miejsce.

Pewnie, piękno czy niezwykłość miejsca nie musi niby mówić o niczym, nie ma naukowego znaczenia. Ale drażnienie ziemi to nie tylko sprawa nauki, ale także wyobraźni i wrażliwości. A tak się dziwnie składa, że uczeni wolą wędrować niewygodnie na kraj świata, w niezwykle pejzaże niż czynić wygodne poszukiwania na własnym podwórku. Przecież i w Polsce są rozmaite skały jurajskie, ale nie słyhać, by tam tłumami gromadzili się archeologowie. Za to, z wielką korzyścią dla nauki, powędrowali wielokrotnie do Mongolii. Sytuacja polityczna, czyli, co tu gadać, życzliwe przyzwolenie Moskwy ułatwiało te wyprawy i trzeba przyznać, że polscy uczeni wykorzystali te możliwości. Czy tyle, ile powinni? Tyle, ile mogli; paleontologia w Polsce nie zajmuje tego miejsca, co w Ameryce, po prawdzie zaś mało kogo obchodzi. Opinia publiczna nie naciskała więc specjalnie na władze, by te zechciały, w sytuacji permanentnie trudnej, wyasygnować więcej środków na rozleglejsze badania. W rezultacie jednak zorganizowano niewielkie muzeum paleontologiczne w warszawskim Pałacu Kultury.

Do Mongolii poza Amerykanami wyprawiali się już uczeni radzieccy E. A. Malejew i A. K. Roźdiestwienski, a nade wszystko E. Jefremow, także autor powieści science fiction „Mgławica Andromedy” i „Godzina Byka”. Polacy wyruszyli po raz pierwszy pod kierunkiem profesor Zofii Kielan-Jaworowskiej w roku 1963. Potem przyszły wyprawy w latach 1964, 1965, 1970, 1971 i następne. Była to wielka przygoda nauki polskiej, a plony obfite i różnicowane. Są tu więc najpierw przedstawiciele *Ornithischia*, reprezentowane przez dinozaury rogate i pancerne. Do pierwszych należy protoceratops, daleki przodek słynnego triceratopsa, czyli trójroga, z całym kompletem skamieniałych jajek. Obok niego pancerny, okryty

plytami dyoplozaur z ogonem zakończonym maczugą kostną. W drugim rzędzie – *Saurischia*, są formy rozmaite, należące do drapieżnych karnozaurów i roślinożernych zauropodów. Jest tu więc drapieżny, wyprostowany *Tarbosaurus*, obok niego chyba największe osiągnięcie wyprawy – *Deinocheirus*. Są to ściślej mówiąc ogromne, drapieżne łapy i parę innych kości. Rzecz w tym, że wielkie drapieżne dinozaury miały najczęściej łapy przednie skarłale, ten zaś przeciwnie. I nie służyły one bynajmniej do chodzenia, *Deinocheirus* poruszał się na tylnych, jest to wyjątek na skalę światową i dla tych paru kości trzeba było stworzyć całą kategorię. Robią one wrażenie, trzeba przyznać.

Jest tu i *Ornithomimus*, ptasi i dziobaty, są wreszcie szczątki zauropoda, podobno zupełnie nowy gatunek. Równać się to oczywiście nie może z wielkimi muzeami światowymi, ale dobre i to. Dodajmy, że uczeni przywieźli jeszcze, rzeczywiście rzadkie na świecie, małe czaszki pradawnych ssaków, rówieśników dinozaurów, a naszych praojców, choć to trochę śmieszne mieć praojca wielkości myszy. Lepsze takie zbiory niż żadne. Pocieszmy się, że zamiast drapieżnych gadów mamy bardzo obfitą gromadę, jeszcze drapieżniejszych, nawiedzonych polityków.

Inni także czasu nie tracą. Zdaje się, że szczególnie wielkie prace podjęto w Chinach – tradycyjnym kraju odwiecznych i wielkich wykopalisk. Są tam prowadzone badania nad późnym triasem, wczesną, środkową i późną jurą, aż po wczesną i późną kredę. Szczególnie efektywne wykopaliska były prowadzone w Dashanpu Quarry koło Zigongu w sławnej prowincji Seczuańskiej. Wzniesiono tu nawet specjalny gmach muzealny, gdzie w holu pokazano oryginalne, bardzo bogate złoża. Rzeczy dokonano w 1987 roku, a więc niedawno. Sprawozdanie podaje, że wśród ośmiu tysięcy kości składających się na sto zwierząt, jest także sześć różnych rodzajów dinozaurów. Wśród nich jest *Lufengosaurus*, sześciometrowej długości, roślinożerny, lecz nie gardzący i drobnym zwierzęcym łupem, krewny plateozaurów, z triasu, sprzed 215 milionów lat, młodszy, ale za to większy od niego *Shunosaurus*, dziesięciometrowy, z długą szyją i ogonem, liściożerny, jurajski, i dwumetrowy *Gasosaurus*, mięsożerny, jurajski, i dwudziestodwumetrowy *Mamenchisaurus*, ledwie sto sześćdziesięciomilionowy, co to tam za wiek, i inne.

Tak wygląda w zarysie plon stu kilkudziesięciu lat wykopalisk. Wyciągnięto spod ziemi niejedną stodołę szkieletów, podzielono je na poszczególne osobniki, gatunki, rzędy, odniesiono do różnych epok i chyba stwierdzono nadal wręcz żenującą niekompletność tego wszystkiego. Przecież przy każdej okazji okazuje się, że wyłaniają się z ziemi nowe gatunki, całe nowe rodziny gadów. Wcale nie wiemy, czy rzeczywiście wszystkie główne typy tych jaszczurów bodaj ogarnęliśmy myślą. Ale jakże się tu dziwić. W archeologii ludzkich cywilizacji, o ileż bardziej ograniczone czasowo, a właściwie to i terytorialnie, ciągle pojawiają się rewelacje. W tak dobrze znanej Syrii nie tak dawno temu odkryto świetne miasto–państwo Ebla, którego istnienie zmienia nasz pogląd na całą historię Bliskiego Wschodu. A przecież cała ta nasza ludzka mniej więcej cywilizowana historia to ledwie kilka tysięcy lat. Więc gdy przyjdzie się pogрузić w milionach, w setkach milionów, to tam mogło być właściwie wszystko, łącznie z niepodległym królestwem żywych aniołów.

Więc pewnie tych gatunków było jednak znacznie więcej, są wśród nich być może i takie, z których nie ocalała nawet najmniejsza kosteczka, chociaż prawie trudno w to uwierzyć. Zauważmy, że gatunek to na ogół bardzo wiele osobników i wiele lat. Ale właśnie, z pewnością mamy jakieś świadectwo istnienia tych gatunków, które rzeczywiście dominowały, które rozciągnęły się na całą kulę ziemską i miliony lat. Wiemy, że były takie, znajdowane we wszystkich miejscach kuli ziemskiej i we wszystkich lub wielu okresach historii planety, kiedy dominowały wielkie gady. Z punktu widzenia historii rodzaju ludzkiego, było to bardzo długo, z punktu widzenia dziejów całej planety już nie tak wiele. Lecz przecież tych gadów, tych poszczególnych osobników w setkach gatunków musiały być wręcz niezmierzone miliardy. I tak niewiele z nich się uchowało. Mogło, mogło przepaść niejedno.

Lecz i odwrotnie. Nie można wykluczyć, że znacznie więcej niż wydobyto z ziemi ciągle jeszcze czeka na odkrycie. A należy się spodziewać, że zostaną udoskonalone metody wykopalisk, że w grę wejdą prześwietlenia, jakieś laserowe sztuczki, jakieś inne jeszcze sposoby. Nauka doskonali się przecież wręcz na naszych oczach. Książka Wendta wydana w 1965 roku wspomina o teorii dryfu kontynentalnego Alfreda Wegenera sformułowanej w 1924, ale mówi z żalem, jako o koncepcji fascynującej, lecz przecież nieprawdziwej. Tymczasem niedługo potem, bodaj w tychże samych latach sześćdziesiątych, znaleziono bezwzględne dowody jej prawdziwości. I tym samym w samej paleontologii odmieniło się wręcz wszystko, kiedy wiadomo, że wszystkie kontynenty zbiegły się kiedyś w jedną całość tworząc jeden jedyny ląd – Pangeę, że potem odrywały się częściami, płynęły unosząc różne gatunki zwierząt ze sobą, zderzały, a w miejscu ich zderzeń formowały się góry. Nagle wszystko uzyskało nową, nieoczekiwaną dynamikę i interpretację.

Z drugiej strony odkryto tymczasem „kod życia”, podwójną spiralę Cricka i Watsona, i nagle wszystkie istoty żywe związały się w jeden system, który można odczytać. Wiemy, czy też raczej możemy wiedzieć, czym różnią się od siebie różne istoty, jak daleko od siebie odszły, ile w nich wspólnego. Możemy tę odległość wyliczyć. Zyskaliśmy w ten sposób dla każdego życia coś w rodzaju uniwersalnej miary i rejestracyjnej tabeli.

Być może wykopaliska zgromadziły dostateczną liczbę eksponatów, aby dociec zasadniczych rodzajów dinozaurów. W istocie wydaje się, że już na początku dwudziestego wieku taki podstawowy kostny kanon został zebrany. Ale niezupełnie tak jest, bo się trochę zmieniły pytania zadawane dinozaurom. Już nie o prostą budowę anatomiczną teraz idzie. Dinozaury z istoty o duchowym poziomie ich bliskiego krewnego, krokodyla, zaczęły się zdecydowanie wspinać w górę. Wyglądały początkowo na coś w rodzaju mięsnych automatów do żarcia i wydalania. Tymczasem zaczęto je podejrzewać o coś znacznie większego. Podstawowym dzisiaj pytaniem jest sprawa stałości, warunek niezbędny bardziej złożonego życia i osobowości. Do sprawy tej wrócimy później, ale tymczasem ciągle nowe pytania padają.

Jak się zdaje, dinozaury miały, mieć mogły, miały jakieś życie rodzinne i społeczne. Wnioskowanie ma teraz odkryć coś znacznie bardziej subtelnego niż korelację między zębem a ogonem, bo idzie teraz o tryb życia, o stopień inteligencji, kto wie, o co jeszcze? Czy naprawdę żaden paleontolog, choć tego nigdy głośno nie powie, nie spodziewa się znaleźć jakichś szczątków dinozaurzej cywilizacji? Czy też może szczątków takiego dinozaura, którego pojemność mózgu każe nam się dobrze zastanowić. W tej chwili w każdym razie wyciągamy wnioski z usytuowania gniazd dinozaurowych, z tego, że w pewnym gatunku spotkano wielokrotnie po dwa dinozaury, małego i dużego, najpewniej matkę i dziecko. A więc istniało jakieś wychowanie, jakaś opieka? A jakie były granice kontaktu takiej dinozaurzej rodziny?

Pytania są coraz szczególniejsze, bo tymczasem człowiek poczuł w dinozaurze ewentualnego rywala, kogoś w jakiejś mierze porównywalnego, i męczy nas pytanie, w jakiej to mierze było i dlaczego my wygraliśmy na loterii życia i inteligencji, a one nie. A może i one wygrały coś? Przecież istniały nieporównywalnie dłużej od nas, a my, czy mamy szansę utrzymać się bodaj jedną setną czasu, który był im dany? To mogą być dla nas pytania nie tylko abstrakcyjne, ale o przerażającej wręcz konkretności i praktyczności.

Pamiętajmy, że smok, tak głęboko zapisany w podświadomości wszystkich cywilizacji, nie był uważany za zwierzę. Był dla człowieka kimś niezmiernie niebezpiecznym i raczej niezycliwym, był też kimś niezrozumiałym, o innej mentalności i innych wyobrażeniach moralnych. Tak innych, że musiał chwilami wręcz ucieleśniać zło. Tak daleko w ocenie dinozaurów nie doszliśmy. Ciekawe, z jednej strony podkreślamy obcość, z drugiej wręcz gwałtownie chcemy te kopalne smoki antropomorfizować. Wychodzimy bowiem z założenia, że wiadomość jest czymś dobrym, co w miarę możliwości trzeba pozyskiwać. A jeśli pogląd smoka i dinozaura na dobro i na świadomość są inne?

Pewien czytelnik dotknięty moją niewiarą w diabła osobowego przysłał mi dłuższy list tudzież wycinki, z których wynikało, że Rosjanie drążąc na Syberii szyb dotarli w końcu na dziewiątym kilometrze do prawdziwego piekła; załączony był nawet zmyślny rysunek diabelskiej paszczy na obłokach wydobywających się z odwiertu. My drążąc ziemię mielibyśmy się ostatecznie dogrzebać smoka ognistego, cywilizacji smoczej, smoczycy ideałów, i kto wie, smoczycy świętych? Mówimy, że szukamy prawdy, ale jakiej prawdy sobie naprawdę życzymy? Budzącej nas czy usypiającej? Bo nie samo tylko pożądanie osobliwości sprawiało, że człowiek od samego zarania grzebie się w ziemi, nie tylko buł krzemiennych czy wody po prostu on tam szukał. Szukał przecież klucza do tajemnicy swojego istnienia, początku, powołania. Pismo miało być potwierdzone bądź zakwestionowane. Coś znaleźliśmy, ale nie wiemy do końca, jak to rozumieć.

No więc dobrze. Będziemy dalej szukać, będziemy czytać, to co na razie nieczytelne. Nad nami ciągle gwiazdziste niebo.

## Ziemia jest wielką jabłonią

Mogłoby się wydawać, że sto dwadzieścia milionów lat dzielące nas od dinozaurów to wiele, ogromnie wiele. A przecież w stosunku do czasu istnienia Ziemi, czyli zapewne czterech miliardów sześciuset milionów, to raczej mało. Na tej stale rosnącej górze czasu i one, i my znaleźliśmy się tak wysoko, tak daleko od korzeni, że właściwie i one, i my jesteśmy stonkowo późnymi, niedalekimi sobie pobratymcami. Te daty są wszystkie dość umowne i wątpliwe, ale wiek Ziemi jest już rzeczywiście szacowny, zaledwie trzy czy cztery razy krótszy niż metryka całego wszechświata. A samo życie też już bardzo sędziwe, podobno pierwsze odnalezione bakterie pochodzą sprzed trzech miliardów lat. A są przecież poglądy, że życie jest tak właśnie stare jak wszechświat. Wielki to temat, ale odwiódłby nas za daleko.

A przecież, kiedy obracamy się w skalach tak odbiegających od biegu godzin codziennego dnia, warto wiedzieć, że to tylko ułamek czegoś jeszcze większego, ale dziw naszego własnego istnienia bije na głowę wszystkie dinozaury i skale czasu. Dla mnie osobiście szczególnie pokrzepiająca i oczyszczająca jest myśl, że wszystkie atomy mojego ciała i cała materia dookolna poczęły się gdzieś w płomiennych czeluściach gwiazdy, gdzie rodziły się atomy pierwiastków. I kiedy patrzymy na srebrzysty tatrzański potok wśród białych skał, wcielenie czystości, wcielenie chłodu, to wydaje się, że materia przepojona gwiezdym początkiem, rozświetlona wewnątrz boskim impulsem powołującym ją do życia we wszystkich okolicznościach, jest niewyobrażalnym misterium, czystym wewnętrznym zachwytem istnienia. Stawimy w niej razem z owymi pierwszymi istotami, z dinozaurami i brzozą pod oknem, jedność niewysłowionego cudu. Jakby boski duch przenikający wszystko przybierał coraz to nowe postaci, coraz to nowe kształty, ciesząc się jak dziecko, dziecko na skalę, wobec której największe skupiska galaktyk są tylko pyłem, radując się każdą nowością, każdym kolejnym psikusem, który udało mu się wypłatać nicości. Może to tylko dla nas Pan Bóg ma białą brodę i odwieczną niezmienną, bo jesteśmy skrępowani tym fatalnym czwartym wymiarem – czasem. A tymczasem jest młody czy też odmłodzony nowym wszechświatem i zbytkuje w ludziach, wiatrach i dinozaurach? Kiedyś to może zrozumiemy.

Na nieco mniejszą, lecz też przecież ogromną skalę sprawa to okoliczności utrzymania życia przez te trzy miliardy lat. To rzecz o wiele dziwniejsza, niżby się wydawało. Przedział temperatur, wilgotności, tlenu, w którym może istnieć życie, jest bardzo wąski. Jeśli tlenu będzie o kilka procent mniej, podusimy się, jeśli o kilka procent więcej – cała atmosfera wybuchnie. Trochę chłodniej – a zamrozimy, goręcej – ugotujemy się żywcem. A odnosi się to do wszystkiego, do zawartości pierwiastków, przewodzenia elektryczności, rezonansu, niedoboru myszy i nadmiernej liczby kotów. Utrzymanie równowagi przez trzy miliardy lat musi być czymś więcej niż automatyzmem. Dwieście lat temu James Hutton porównał Ziemię do żywego organizmu, teraz tę teorię przypomniał i rozwinął angielski chemik James Lovelock. Jest to hipoteza Gai, żywej Ziemi obdarzonej swoistą formą świadomości, reagującej na zagrożenia, przywracającej naruszoną równowagę, pozwalającą na istnienie życia.

Gdyby działał tu czysty automatyzm, nie respektujący właśnie życia, to odmieniając istniejące w atmosferze proporcje tlenu, dwutlenku węgla i metanu powołałby nową równowagę, ale o temperaturze 260° Celsjusza. Gdyby wszechświat był tylko martwy i nieświadomy, cóżby go to obchodziło? Niby jak kto się uprze, może wszędzie widzieć jedynie mechanizmy, które dziwnym przypadkiem nie chcą się mimo sprzyjających okoliczności rozregulować. Jak niebываła sprawa tlenu, którego obecność uniemożliwiłaby życiu powstanie, ale którego brak przekreśliłby dalsze istnienie. Więc życie powstało bez tlenu, a następnie ów niezbędny tlen

sobie stworzyło. Twórcy japońskiego telewizyjnego serialu „Cudowna planeta”, na którym z kolei oparto wspaniały amerykański album, tę cudowność istnienia Ziemi nieustannie podkreślają. Bo i nauki współczesne zdają się mówić, że nie ma istnienia bez towarzyszącej mu świadomości. Nie wiemy wprawdzie, czy jest to Bóg osobowy, czy też cudowna boska substancja będąca fundamentem istnienia wszystkiego, czy ponadmaterialne właściwości materii (ale nie widzę przeszkody, aby te wszystkie twierdzenia były ze sobą w sprzeczności; wszystkie mogą być równocześnie bądź na zmianę prawdziwe), ale jakaś zakryta przed nami świadomość towarzyszy naszym krokom i każdej istocie, i każdej najmniejszej cząsteczce istnienia. Cieszy mnie to także ze względu na ten niewiarygodny wysiłek, jaki uczyniło życie, by przetrwać i rozwinąć się. To krzepiące, że wszystkie sukcesy i tragedie nie rozegrały się jedynie wobec martwego spojrzenia gwiazd, że wszystko, co było, zostało zauważone i zanotowane, że nic się nie zmarnowało.

Kiedy przychodzi nam mówić o genealogii dinozaurów czy jakiegokolwiek innego życia, patos wydarzeń staje się wręcz nieznośny. A naprawdę trudno udawać, że tak nie jest i „widzieć ino pchły”. Nawet jeśli operuje się naukową terminologią i językiem wręcz sformalizowanym, a wspartym na konkrecie i tylko konkrecie, jak robi to Jerzy Dzik, autor dzieła „Dzieje życia na Ziemi”, to obrót tego zamachowego koła żywego istnienia musi budzić podziw i pokorę. Nie trzeba mu nawet dinozaurów, może to osiągnąć mówiąc o maleńkich glonach.

Nasz wzrok nie sięga w głębiny morza, gdzie się to wszystko zaczęło, ale i o tym wiemy bardzo wiele. Wspólni przodkowie ludzi, żyraf i dinozaurów to maleńkie zwierzątka bezszkieletowe, bo to jeszcze proterozoik, w prekambrze dwa miliardy lat temu, który ciągnie się i ciągnie miliard i trzysta milionów lat. Chyba to trochę nużące z samymi glonami, pierścienicami i jamochłonami.

Niech się martwi Ten, Który tam wtedy był (jeśli był). My już jesteśmy w kambrze i ordowiku, w paleozoiku, w dobie najstarszego życia, możemy się cieszyć trylobitami, wielkorakami, pierwszymi koralami, a nawet strunowcami, takimi pierwszymi praminogami. A tymczasem zaczyna się dziać coś niezmiernie istotnego: pierwsze małe roślinki, bakterie i glony zaczynają nieśmiało wydostawać się na ląd stały. Ten ląd wygląda po prawdzie przerażająco. Może nawet ciekawsze na oko było kipiące morze lawy, bąble i sine, płonące piany gazów: Ziemia z oddali przypominała gigantyczną malinę. Teraz nawała ognia usnęła. Bryła ładu, czarna czy czerwona, jest całkowicie naga, odpychająca, księżycowa. Zaledwie trochę złagodziła najostrzejsze kanty płynąca przez wieki niezmożona woda. Ale nie ma dziś na całej Ziemi pejzażu dającego się, choć w przybliżeniu, porównać z tamtym, prastrasznym. Teraz nie ma zakątka, który nie nosiłby śladów życia, wielkiego romansu skały ze słabiutkim jak westchnienie szprotki DNA. (Czy szprotki wzdychają? Jeśli nie, niech będzie: biedronki).

Na skałę czy też szczery, skalny piach pada w zasięgu bryzgów fali słaby, szary, zielonkawo czy brunatny nalot, jakaś kolonia glonów. Następna fala je zmywa, kolejna osadza znowu. I tak być może całe wieki. Aż w końcu rośliny sięgają dalej, mnożą się, różnicują, już gotowe łąki (choć łąki to nie przypomina) dla pierwszych zwierząt. Tak stało się to coś większego od wieżowców Manhattanu.

Czas biegnie: oto już sylur, krótki jak trzydzieści milionów lat. Oto i pierwsze zwierzęta, mało jeszcze pociągające: wije i skorpiony. Kręcą się wśród psylofitów i plechowców. W morzach tymczasem wielkoraki mają już po trzy metry, są też graptolity, liliowce, ramienionogi. Wśród nich ryby pancerne nie przypominające niczego dorzecznego, największe mają po pięć metrów; w karbonie wymrą wszystkie bezpotomnie. Na razie, w dewonie (50 milionów lat) miewają się świetnie. W ogóle niemal poklepujemy po ramieniu te wymarłe gatunki, że im się nie udało. *Homo sapiens* tymczasem ma za sobą kilkadziesiąt tysięcy lat i nie wiadomo ile przyszłości, a te ryby podobne do wielkiego raka było nie było żyły sobie w sumie sto sześćdziesiąt milionów lat. W dewonie są zresztą i inne rodziny ryb, wśród nich te dla nas

najważniejsze, dwudyszne i trzonopłetwe, które wkrótce wyjdą na ląd otwierając w ten sposób pierwsze królestwo zwierząt. Ląd tymczasem jest już imponująco zarośnięty, są widłaki, skrzypy, paprocie, buszują wśród nich najdawniejsze owady – ważki o metrowej rozpiętości skrzydeł i naturalnie karaluchy, najstarsze z najstarszych, wywodzące się z czasów o pół miliarda lat nas wyprzedzających.

Ciekawe, sporo z tego pozostawiło potomstwo i istnieje do dzisiaj. Rośliny, wije, karaluchy. Skrzypy, widłaki. Nie wiem, czy to przypadek, czy coś głębszego, ale w stosunku do tych potomków istot pradawnych czujemy wstręt, albo respekt, albo zaciekawienie. Nie tylko wije i karaluchy. Ale paproć posadzamy, że ma swoją tajemnicę, kwiat przynoszący szczęście, widłak pod ochroną, rzadki, był też zieleń mistycznym. Owłosione, jasno zielone łodygi pełzające pod krzakami po ziemi, kryjące się przed wzrokiem, zwane przez lud „lisimi ogonami” służyły od wieków do przystrajania wielkanocnego stołu. A wiadomo, że to jeden z tych dni, kiedy nic nie dzieje się przypadkiem i bez głębszego uzasadnienia. I jeszcze zwracające uwagę skrzypy, nie, stanowczo to nie przypadek, że czujemy jakąś ich obcość. Większą czy mniejszą niż wobec dinozaurów? Chyba większą...

Pierwsze kręgowce, które wyszły na ląd, to były płazy. Od ryb różniły się tym, że miały nogi i że oddychały powietrzem. Co prawda są takie ryby, które i to potrafią. Dlaczego wyszły na ląd, co je tu gnało? Różnie się o tym mówi. To na pewno nie były te największe, które tutaj mogłyby szukać zdobyczy: rekin nie poluje na świerszcze. Możliwe, że początkowo przebiegały tylko między wysychającymi kałużami. A może przypędził je, w ucieczce przed silniejszymi myśliwymi, praojciec wszelkiego stworzenia: strach. Tak jak skrzydlate ryby ze strachu wyszły nad powierzchnię wody. I znowu był to krok ku wielkości. Czy był to najpierw jakiś pojedynczy stwór, czy od razu gromadka? Wiem, że obserwowały te pierwsze centymetry nie tyle suchego lądu, co jakiegoś zgniłego bajora wszelkie Moce i Trony, aniołowie na jego cześć uderzyli w formingi, lutnie, trąby i sekcje rytmiczne. Dzisiaj dzielny płaz razem z Kolumbem, Gagarinem i Armstrongiem mają miejsce tuż koło bożego tronu i razem z Najwyższym popijają „Manhattan”, którego nigdy nie ubywa ze szklanki. A królestwo płazów na ziemi przetrwało wieki.

Rozmnożyło się ich tyle, że zabrakłoby dzwonoń w całym kosmosie. Do dziś dotarły do nas szczątki dwustu czterdziestu gatunków, a pewnie znacznie więcej przepadło bez śladu. Ich królestwo przypadło na okres karboński, czyli węglowy, gdy ziemię zalewały płytkie bagna, wśród których rosły okazałe lepidodendrony, araukarie, drzewiaste paprocie i skrzypy, przeróżne sigilarie, wiliamsonie, kordaity i mnóstwo innych. Podobno przypomina to współczesne lasy egzotyczne ze skłębionym buszem i wystrzelającymi niekiedy w niebo olbrzymiami. A w takim razie niewiele chyba się widziało, bo dżungle Zatoki Gwinejskiej, które udało mi się odwiedzić, to po prostu zielony mur. Stosowne dzieła powołują się zwłaszcza na florydzkie bagna Okefenokee ulubione przez krokodyle. Więc właśnie płazy były takie: błotno-leśne. Wodny był mały *Brachiosaurus*, typowo wodny *Dolichosomatites*, wąski, metrowej długości i zaopatrzony aż w sto pięćdziesiąt kręgów grzbietowych i zewnętrzne skrzela. Inne znów miały bardzo szerokie czaszki i pyski, co miało im ułatwiać oddychanie, wielki i trudny problem płazowy, nigdy do końca dobrze nie rozwiązany. Taki był właśnie *Diplocaulus*, zaś *Pteroplax* osiągał aż cztery i pół metra, a może więcej, i był oczywiście drapieżny.

Najgroźniejszy i największy wśród płazów to *Mastodonsaurus giganteus*, drapieżnik o dwu rzędach zębów, z epoki nieco późniejszej, bo z triasu. I może właśnie z odmianą klimatu, z wysychaniem bagien pojawia się tak dobrze w paleontologii i historii znany temat: masowych grobów. Oddajmy głos Andrzejowi Trepce, autorowi książki „Zwierzęta wychodzą z mórz” (1977):

„Na południu Afryki, w środkowej Europie i w Ameryce Północnej znajdowano przy różnych okazjach zastanawiające obfite skupiska skamieniałości mastodonzaurów. Powtarzanie się takich odkryć pobudziło uczonych do rozważenia przyczyn masowych śmierci wielkich

płazów. Spór nasilił się, kiedy w pstrym piaskowcu Szwarcwald (RFN) znaleziono 35 ciasno stłoczonych szkieletów. Zastanawiało zwłaszcza ich ułożenie: większość okazów spoczywała na grzbiecie, co nie mogło być zwykłą pozycją ginącego zwierzęcia.” Dalej autor przytaczając austriackiego paleontologa Othenio Abla rozważa możliwość powodzi i odrzuca to wyjaśnienie, wreszcie przyjmuje za powód katastrofalną suszę: „W miarę wysychania bagna, mastodontaury coraz bardziej ścieśniały się na resztkach gwałtownie parującego bajorka, a nie mając dokąd schronić się wyginały tuż obok siebie, na maleńkiej przestrzeni kurczącej się kałuży. Potem spadły deszcze, zbiornik na powrót wypełniła woda. Wtedy zwłoki w stanie rozkładu przeważnie odwróciły się brzuchem do góry.”

Swoją drogą mogę sobie wyobrazić rozważania jakiejś istoty z przyszłości, która odkrywa ludzki cmentarz, gdzie zwłoki, o dziwo, też spoczywają na plecach... Co by tam roił o suszach i powodziach... A owe zbiorowe mogiły ciągną się rzeczywiście od płazów przez dinozaury, potem konie, mamuty, słonie i wreszcie ludzi. Ziemia jest wielką jabłonią, lecz otaczający ją od początków czasu cmentarz jeszcze większy.

To były płazy tarczogłowe, najciekawsze dla nas, bo z nich albo koło nich zapewne prowadzi się linia gadów. Na razie zauważmy, że płazimi sprawami i mogiłami interesujemy się mało, niemal tyle, co jakimś gatunkiem trawy. A przecież nawet te zwierzęta wyraźnie niższe, a ściślej ich potomkowie, odgrywają rolę w naszej poezji i estetyce: któż nie podziwia żabich chórów! Widocznie jednak są zdolne do współdziałania. Bo z racji właśnie żab, potomkiń kopalnego płaza o nazwie *Triadobatrachus* przeżywamy w naszej epoce istny renesans płazów. A niektóre legendy łączą nawet żabę ze smokiem, a na pewno z zaklętą królewną. My jednak pospieszajmy od tych śliskich i miękkich, lecz wcale nie tak niesympatycznych stworzeń (w moim ogródku mieszka ropucha Barnaba, kiedy deszczu za wiele na jej gust, chroni się bez wahania do sieni) ku naszym strasznym jaszczurom. Są już niedaleko.

Królestwo płazów musiało się skupiać w pobliżu wody. Rzecz w tym, że chociaż płaz zaopatrzył się już w nogi i polował na różne lądowe przysmaki, to przecież mógł się rozmnażać jedynie w wodzie. Nie były to zbyt mądre stworzenia. My, ludzie, rozmnażamy się przecież na ogół w łóżku, ale to nie znaczy, że nie możemy ani krokiem oddalić się od sypialni. Sypiamy także w innych okolicznościach, np. na wykładach, w pociągu, na nabożeństwach, ale, co prawda, właśnie w tych okolicznościach się nie rozmnażamy. To właśnie gady uniezależniły się od wody wymyślając takie jajo, które nie musi być zanurzone w płynie, bo jest zamknięte skórzastą czy też twardą skorupą, owodniami etc. Pomysł był dobry, przejęły go też po gadach ptaki, z czego wynika, że najdawniejszy, pierwszy gad był też patronem omletu.

Te pierwsze gady nazywały się kotylozaury i nie były uosobieniem urody z ciężką, płaską czaszką, kostnymi osłonami, nogami wysuniętymi na boki, krótką szyją i ciężkim brzuszyskiem szorującym po ziemi. Nie przypominały Claudii Schiffer ani innej Evangelisty, a przecież były ich najniewątpliwszym protoplastą. Podobnie jak były najautentyczniejszym dziadkiem wszystkich ssaków, a także dinozaurów, ptaków i żyjących dzisiaj gadów, żółwi, węzów etc.

Dzieci kotylozaura bardzo różniły się między sobą, niemal tak jak Rus, Czech i Lech. Same kotylozaury nie bacząc na rozwijające się bujnie różnorakie potomstwo żyły sobie niejako na dobrze zasłużonej emeryturze przez cały karbon, perm i znaczną część triasu. Ponieważ równocześnie żyły jeszcze płazy tarczowe, rodzice kotylozaurów, a były już wczesne dinozaury, więc był to niejako model wielkiej rodziny wielopokoleniowej z pradziadkami dziadków i wnukami prawnuków. Z istot żyjących do dzisiaj najbliższymi krewnymi kotylozaurów są żółwie. Innym podrzędem pochodnym są *Diadectomorpha*. To jest o tyle ciekawe, że w tej grupie spotykamy pierwszych roślinożerców. Więc z kręgowcami to wcale nie tak było, jakby się to podobało różnym współczesnym wegetarianom, wedle których wszystko zaczęło się od jedzenia marchewki, a mięsożerność to degeneracja. Otóż kręgowce były od początku drapieżnikami i mięsożercami, używając sobie na różnym robactwie i jamochłonach. Do sałaty



zabrały się później, niejako dopiero na deser. Co dedykuję mojej miłej przyjaciółce dietetyczce Majce Błaszczyszyn, której też się widzi, że człowiek był na początku królikiem. Niestety, nie.

Na dodatek przyszłe ssaki nic z tymi roślinożernymi diadektomorfami nie miały wspólnego. Kotylozaury dorobiły się bowiem także potomstwa, zwanego *Synapsida*, a szczególnie pelikozaurów, ciężkich, małogłowych i masywnych, które hulały sobie po karbonach i permach. Wywodzą się z nich przeróżne *Therapsida*, gady ssakokształtne, rzeczywiście już prowadzące ssaczy tryb życia, niektóre zapewne rzeczywiście ssące swe matki, co wiadomo po występowaniu zębów mlecznych, niesłuchanie zróżnicowane i butne, ale z biegiem czasu wypierane, coraz lichsze i bardziej sklerotyczne. (Zabawne, ale dzieje dominacji różnych typów zwierząt przypominają rozkwit i uwiąd partii politycznych). Toteż uczeni zdumiewają się, jak to się stało, że ssaki, grupa niby najdoskonalsza już, już prawie że się stały (choć naprawdę były tylko gadami ssakokształtnymi), kiedy w okresie jury powoli, lecz systematycznie zostały wyparte ze wszystkich miejsc, odsunięte i w końcu unicestwione. Ocalały z nich jedynie te najmniejsze, najskromniejsze, których dinozaury w ogóle nie raczyły zauważyć. Wielkości i trybu życia myszy pozostały w tej postaci przez dziesiątki milionów lat, czekając na zmianę sytuacji. Czekają właściwie nawet jeszcze dłużej. Dinozaurów nie było już od milionów lat. Zagrzebane przez piaski i powodzie stawały się powoli skałą, czekając aż kiedyś, kiedyś potomkowie tych ni to myszy odkryją ze zdumieniem ich minione istnienie. A ssaki wciąż były takimi lichymi stworzonkami żyjącymi w cieniu dawno już nieobecnej grozy. I dopiero pod ciepłym słońcem trzeciorzędu rozkwitły na dobre.

Kiedy jeszcze kotylozaury zachłystywały się ze szczęścia widząc karierę, jaką zrobiły w permie i triasie te ich słodkie, ciężkogłowe, krzywołape pokraki, ssakokształtne terapsydy, przybyła im jeszcze jedna linia potomstwa, z pozoru nie tak pięknie wydarzona.

Tu zachnęła się ogromnie Teresa Maryańska. Napisała: „Słodkie – zgoda; ciężkogłowe – pół zgody, bo tylko niektóre; krzywołape pokraki – brak zgody, wśród terapsydów (tych, co ssaly w pierwszym wierszu tej strony, a nie były ssakami) były grupy o kończynach jak u ssaków trzymany pod tułowiem, śliczniutkich i zgrabniutkich”. Brawo, Droga Pani Tereso! Odtąd i ja, niby lew, będę bronił honoru terapsydów! Ale przecież pozwolimy żyć i tekodontom? Tekodonty były szczupłe, by nie rzec chude, nogi miały pod korpusem, a tylne łapy – dłuższe od przednich. Część z nich przypominała krokodyle i wróciła zdecydowanie do wody, inne zajęły się polowaniem lądowym, a jeszcze inne zachowywały się najdziwniej: zaczęły po prostu chodzić na dwóch łapach przednimi chwytając co popadnie lub też po prostu swobodnie nimi wymachując, co z czasem dało w efekcie skrzydła. Tekodonty żyły na razie skromnie w roli ubogich krewnych przemieniając się z czasem w skrzydlate pterozaurowe, wodne krokodyle i najstraszniejsze, najgroźniejsze potwory wszystkich czasów – dinozaury. One to właśnie miały wkrótce pokazać oszołomionej rodzinie, kto tu naprawdę rządzi. A choć i one w końcu przeminęły, przecież i dzisiaj rządzą naszym strachem.

Tak oto dotarliśmy do dnia narodzin naszych bohaterów i wiemy już, że mają prawo do dumy ze swojej genealogii, długiej i powikłanej. Ich korzenie wywodzą się z karbonu, a uformowały się ostatecznie w permie. Perm zaś to ostatni okres pierwszej wielkiej epoki życia, paleozoicznej. To okres wielkiej epoki lodowej i wypiętrzania się ogromnych gór. Bowiem wszystkie kontynenty ziemi po raz pierwszy i jedyne spotkały się ze sobą tworząc gigantyczną Pangeę. A gdzie kontynent zderzał się z drugim kontynentem, ziemia spiętrzała się ku niebu tworząc nowe góry. Potem wiatry i deszcze rozmywały je, przemieniały w pagórki. W Polsce z tego okresu pochodzą Góry Świętokrzyskie. Europą początkowo wstrząsają wciąż na nowo formujące się wulkany, potem zalewa ją gniewne morze odkładające się w złożach soli. W kopalniach Inowrocławia i Kłodawy chodzimy po jego dnie. Odmienia się roślinna postać świata. Zanikają i karleją stare lepidodendrony i sigilarie, rodzi się nowa roślinność nagozależkowa, zapowiedź wielkich borów szpilkowych. Coś się kończy. Po starożytnej erze

paleozoicznej przychodzi średniowiecze Ziemi, era mezozoiczna. Po długim, jesiennym, pięćdziesiąt milionów lat wlokącym się permie przychodzi trias, też niezbyt krótki, bo czterdziestomilionowy. Pangea tymczasem zaczyna się rozpadać na północ i południe, na „górną” Laurazję i „dolną” Gondwanę połączone jeszcze tylko wąskim pasemkiem w okolicach Gibraltaru. Europa to jest lądem, to znów zalewa ją morze. Przyszłe dinozaury jeszcze nie bardzo się liczą. Królują teraz, przedwcześnie, pelikozauury. Najszczególniejszy chyba jest niebezpieczny, 3-metrowej długości *Dimetrodon* z wysokim żaglem na grzbiecie przypominającym przerośniętą do przesady górną płetwę okonia, prawdopodobnie urządzenie ciepłne, dalej terapsyd *Corgonops* (oba w permie), eksponujący długie kły triasowy *Cynognathus* – jego nazwa bierze się od psa.

Drugim okresem mezozoiku jest trzydzieści pięć milionów lat jury, apogeum dinozaurów. Bezwzględne panowanie gadów w morzach, na lądach, w powietrzu. Unoszą się nad lasami pierzastych bennetytów, beczkowatych cykadoidów, smukłych wiliamsonii, sagowców, iglaków, kajtonii i miłorządów, świętych drzew, które, co prawda nieliczne, przetrwały w ogrodach japońskich świątyń. Polska jest początkowo lądem, potem zalewa ją morze. Z tych czasów szwajcarska Jura, która dała imię całemu okresowi, niektóre skały w Tatrach i, oczywiście, Jura Krakowsko–Częstochowska.

I wreszcie ostatni okres ziemskiego średniowiecza, kreda, siedemdziesięcimilionowa kreda zapowiadająca się dla państwa gadów wspaniale, w morzach gęsta od życia, czas ichtiozaurów i plezjozaurów, później pełni rozkwitu mozazaurów. W połowie okresu Europę zalewa morze, potem ziemia grzmi i wynurzają się góry naszych czasów: Alpy i Tatry. Ziemię okrywa już płaszcz nowych roślin, dawni panowie stworzenia zaczynają się czuć nieswojo, trochę tak jak my w fabrycznej hali, gdzie nie ma już ludzi, tylko same roboty. Pod koniec okresu światła gasną: wymierają wszystkie dinozaury, pterozauury, morskie rybojaszczury, którym towarzyszą amonity i belemnity. Ziemia pustoszeje; odeszły wielkie zwierzęta, nowe, zresztą nigdy już tak ogromne, jeszcze nie powstały. Czas zawieszenia. Boska moc tworzenia waha się, namyśla. Scena ciągle pusta. Czy już wyśpiewała się pieśń życia do końca, czy po dinozaurach pojawi się coś równie ciekawego? Boska chwila namysłu, dla nas miliony lat. I przechyliła się szala życia, zaczęła się nowa epoka, dla nas nowożytna, kenozoik.

Jak widzimy, trudno byłoby określić pejzaż dinozaurów, tak zmienne były geograficzne, klimatyczne i roślinne dzieje planety. Oglądana z takiej dali Ziemia przypomina gigantyczny kalejdoskop, błyskający błękitem mórz, czerwienią pustyń, zielenią dżungli. Właściwie dinozaurom zdarzył się każdy pejzaż, jaki dałoby się pomyśleć. Stąd w rekonstrukcjach rysunkowych oglądamy je to na czymś w rodzaju sawanny, to znów w bagniskach, w lasach, na pustyni. Wszystko to było rzeczywiście. Najbardziej imponujące zwierzęta świata miały godną oprawę. I wszystko ostatecznie (?) zostało dziedzictwem naszej wyobraźni, dane nam jako zagadka, szarada, może i przesłanie, może przestroga – o tym także my sami musimy rozstrzygać – może wreszcie po prostu model naszego własnego losu. Kwitnąca jabłoń Ziemi, owocodajna jabłoń życia obrodziła raz jeszcze, jabłoń z piosenki Jonasza Kofy. Ach tak, Jonasz też już od dawna nie ma. Może śpiewa Panu i Jego dinozaurom?

## Ile ich było, jakie były

*Szczególne podziękowanie zechce przyjąć  
Pani Docent Teresa Maryńska za podanie  
mi pomocnej dłoni w beznadziejnej płątaniu  
systematyki i terminologii. Ale to nie ja to  
wszystko wykopałem...*

Zazwyczaj nie zaczynamy opisu zwierzęcia od środka, od jego anatomii. Nie wiem, ile kręgów ma w swoim stosie pacierzowym jeź, wiem za to dobrze, że ma kolce i fuka, a nocą potrafi wejść pod kołdrę i kłując obudzić, bo jest spragniony zabawy i życia towarzyskiego. Nawet bez znajomości anatomii nikt nie pomyli jeża z koniem. Z dinozaurami jest inaczej, zostało z nich to, co najbardziej w środku, a więc szkielet i to rzadko cały. Trzeba więc z tych skamieniałych kości wnioskować, co do czego mogło służyć, jak się określone zwierzę mogło zachowywać, czym karmić, jak w ogóle wyglądało. Czasem zostało coś więcej, zmumifikowane fragmenty ciała, czasem można coś wywnioskować z pozycji, w której jego szczątki znaleziono. A jeszcze też i nie zawsze dobrze wiadomo, w jakim okresie żył jaki gatunek, bo wcale nie wszystkie żyły równocześnie i tak samo długo. Różniły się też między sobą bardzo, ale niektóre ich cechy bywały podobne.

A więc wywodząc się z tekodontów, o tylnych łapach dłuższych od przednich, miały często tendencję do dalszego skracania przednich kończyn i chodzenia w postawie wyprostowanej. Ciekawe jednak, że o ile człowiekowi postawa spionizowana pozwoliła rozwinąć mózg i chwytne ręce, to tutaj do niczego takiego nie doszło. Przednie kończyny, chociaż nawet zrobiły się chwytne, czy też stały się szponiastym narzędziem polowań, to przecież nie tylko nie rozwijały się dalej, ale karły i wręcz zanikały. Trudno to pojąć: cóż może być bardziej przydatnego w życiu od chwytnych kończyn, także w walce, także na polowaniu? A tymczasem coraz mniejsze łapki przednie tyranozaura zrobiły się tak krótkie, że wręcz nie sięgały do paszczy. Wyobraźmy sobie, że mamy ręce tak maleńkie, że nawet kieliszka do ust podnieść nie mogą!

Głowa też rozwijała się dziwnie i różnie. Wiele odmian miało główkę maleńką, ptasią, ale inne rozwijały swoją głowę w prawdziwy taran okrywając ją pancerzem kostnym i całą wariancją rogów, od jednego do siedmiu. Głowa taka stawała się ogromna, stanowiła wręcz jedną trzecią zwierzęcia. Trudno nawet rzec, że była pusta, bo, odwrotnie, składała się z pancernej kości. Mózg był za to pod tą czaszką malusieńki, liczący sobie kilkadziesiąt gramów. Trudno byłoby więc od niego wymagać jakichś szczególnych wyczynów. Ale nie wszyscy się godzą z taką oceną, przypominają, że ptaki z takim samym skromnym wyposażeniem mózgowicy bywają jednak bardzo inteligentne.

Za to, sądząc po budowie organów zmysłowych i samej czaszki, dinozaury nie były wcale odcięte od doznań zmysłowych i nie było pewnie tak, jak to sobie żartowano o brachiozaurach, długich na trzydzieści metrów, więc ze strasznie rozciągniętymi drogami impulsów nerwowych, że już go od ogona dobrze jakiś drapieжник napoczął, zanim spokojnie pasąca się głowa cokolwiek o tym się dowiedziała. Wiele wniosków dotyczących dinozaurów wyciągają uczeni z budowy i zachowania krokodyla, ich jedyne żyjącego do dzisiaj krewnego. Główny problem dotyczy ewentualnej stałocieplności bądź zmiennocieplności. Na ogół uważano, że dinozaury ze swoją nagą bądź pancerną skórą były uzależnione od ciepła zewnętrznego, z czego różne poważne konsekwencje wpływały. A więc, jak wszystkie gady, musiały się

trzymać okolic ciepłych, a więc nie mogły być ani za sprawne, ani za mądre, bo to wymaga stałych temperatur. Okazało się, że jednak jest tu różnicowanie, że były takie całe rzędy czy rodziny dinozaurze, które umiały się rozprzestrzenić po całym globie zaglądając do okolic chłodniejszych, czy przynajmniej umiarkowanych. Być może jednak były one stałocieplne. Na niektórych skrzydlatych gadach znaleziono odciski skóry pokrytej drobnymi dołeczkami, tak jak gdyby tam kiedyś włosy rosły. A to by znaczyło, że mając futro były stałocieplne. Być może znacznie więcej dinozaurów, i to nie tylko tych latających, było bardziej zbliżonych pod tym względem do ptaków i ssaków, niż sądziliśmy dotąd.

W każdym razie w mózgu znajdują się ośrodki wzroku i słuchu, ale nade wszystko węchu. Wiemy też, że organy nosowe bywały wręcz niezmiernie rozbudowane. Ale tu jest coś podobnego do węży, które mając marny wzrok i słuch równocześnie rozbudowały organy smakowo-węchowe. Uczeni twierdzą, że to właśnie węchem dinozaury poszukiwały jedzenia i rozpoznawały przyjaciół i wrogów. Ale i oczy były mocno rozbudowane, choć wielu problemów nie umiały rozwiązać. Zapewne świeciły w ciemnościach. Przypuszcza się też, że miały zdolność widzenia kolorów. Znowu posługując się krokodylem sądzi się, że miały dobry słuch, a co więcej, zdolność wydawania głosu. Ale jakiego? Węże syczą, żółwie wydają z siebie coś w rodzaju prychnania, krokodyle skrzeczą czy szczekają na powitanie lub ze złości. Co wydawały z siebie dinozaury? Obraz gigantycznego tyranozaura jedynie poświsującego pod nosem jest tyleż śmieszny co złowieszczy. W. E. Swinton domyśla się jednak w ciemnościach gorącej, kredowej nocy skrzeków tyranozaura nad zdobyczą i poszczekiwanie triceratopsa.

Jeszcze jednym zagadnieniem jest długość życia dinozaurów. Ich gatunki trwały przez miliony lat, ale w końcu karaluchy są jeszcze starsze i żyją do dzisiaj. Natomiast długość życia poszczególnego osobnika jest ciągle raczej zagadką. Ale z tą długością życia to właściwie zagadką jest wszystko, z naszym własnym życiem włącznie. W zasadzie każde stworzenie sześć razy tyle żyje, ile rośnie, stąd wyliczenia „właściwego” ludzkiego wieku na sto dwadzieścia lat. Ale tyle jest tych „właściwych” lat i tyle „podobno” w tym wszystkim, że serio się tego brać nie da. Za to dopóki organizm rośnie, dopóty jest młody. No, dobrze, a co z krokodylami, które rosną przez całe życie? Właściwie dłaczego umierają (jeśli pominąć nieszczęśliwe wypadki), nie ze „starości”, skoro rosną i są młode, ale jak? – „z młodości”?!

Na ogół duże zwierzęta żyją dłużej niż małe, a dinozaury bywały ogromne. Co prawda, nie trzeba sobie wyobrażać, że nie było małych. Odwrotnie, było ich znacznie więcej niż olbrzymów, tyle że wielkie kości łatwiej się zachowały. Lecz były też dinozaury wielkości kota czy kury, podobnie jak to jest wśród ssaków. My po prostu mówiąc o dinozaurach mamy na myśli te kolosalne. Otóż Swinton powiada, że jeśli dinozaur dociągnął pięćdziesiątki, to poza wszystkim miał szczęście, że nie złamał karku lub jakiejś kończyny. Ale ile mógł żyć naprawdę, jeśli szczęście trwało dostatecznie długo? Nie wiadomo; dodam tylko nieśmiało, że smokom przypisywano wielką długowieczność.

Ile było gatunków dinozaurów, nie wiadomo, pewnie kilka tysięcy. Ale klasyfikacja może dotyczyć jedynie tego, co znamy, cośmy już z ziemi wydarli, jak dotąd niemal każde wykopaliska przynoszą nowe gatunki, nowe warianty. Na ogół zaczynało się od zwierząt niewielkich, a w każdym razie średnich, potem wielkość różnicowała się, było mnóstwo drobnicy, ale równocześnie pojawiały się formy coraz większe, coraz potężniejsze aż po prawdziwe monstra. To jest zresztą, podobno, ogólna reguła życia. Jeśli pominiemy na razie gatunki morskie i uskrzydłone, to zasadnicze dinozaury dzielą się, tak trochę dziwnie, wedle kształtu miednicy, na gąziomiedniczne i ptasiomiedniczne, *Saurischia* i *Ornithischia*. Ze Swintona przepisuję tabelkę klasyfikacyjną.

## *Saurischia*

Podrząd *Theropoda* – Dwunogie mięsożerne

Rząd *Coelurosauria* – Lekkie mięsożerne

Rząd *Carnosauria* – Wielkie mięsożerne

Podrząd *Sauropodomorpha* – Roślinożerne

Rząd *Prosauropoda* – Roślinożerne

Rząd *Sauropoda* – Czteronożne roślinożerne

## *Ornithischia*

Podrząd *Ornithopoda* - Dwunożne roślinożerne

Podrząd *Stegosauria* – Pancerne czworonożne roślinożerne

Podrząd *Ankylosauria* – Uzbrojone czteronożne roślinożerne

Podrząd *Ceratopsia* – Rogate czworonożne roślinożerne

Jak z tego widać, mięsożerne były w mniejszości, co zresztą w pełni zrozumiałe. Robiono nawet specjalne obliczenia i wyszło bodaj na pięć procent wszystkich dinozaurów. Ale można mieć wątpliwości: a kto powiedział, że mięsożernym dinozaurom nie smakowały także płazy? Jeszcze tylko trzeba przypomnieć, że właśnie mięsożerne były pierwotne, dopiero z czasem młodsze odmiany zaczęły gustować w surówkach. Cytowana tabelka stanowiła ostatnie słowo w końcu lat sześćdziesiątych. Jej zasadniczy schemat przetrwał do dzisiaj, ale w praktyce rzecz rozrasta się z każdym nowym odkryciem. W amerykańskim przewodniku „A field guide to dinosaurs” z 1983 *Theropoda* dzielą się nie na trzy, ale na siedem podrzędów, co prawda częściowo hipotetycznych, i na kilkadziesiąt rodzin. W każdym razie są to najstarsze, najwcześniejsze dinozaury, wywodzące się z triasu, a więc pierwszego okresu (dalej jura i kreda) panowania dinozaurów typowych, mezozoiku.

Na początek idą celofyzidy o długich, wąskich pyskach i pustych w środku kościach, ptasich stopach z trzema palcami i dużymi przednimi łapami. Polują na drobniejsze stworzenia, bo nie należą same do największych, mają przeciętnie metr z kawałkiem i około trzydziestu kilogramów wagi. Pewnie i tu się trafia przeszłopięciometrowy rodzaj *Halticosaurus* i to z Niemiec, ale różnych rodzajów jest tu koło dziesięciu. Jeszcze mniejsze, ale za to szybsze byty celuridy, podobnie jak poprzednie spotykane na całym świecie. Są wśród nich także wielkości indyka czy dużej gęsi jak *Microvenator*, *Laevisuchus*, *Inosaurus*, a tych wszystkich jaszczurkowatych czy krokodylowatych jest znowu trzynaście gatunków. W rzeczywistości było ich pewnie znacznie więcej, za to pokrewnych i równie małych nozaurów odkryto dopiero dwa gatunki. Jeszcze mniejszy, bo tylko rozmiarów kurczęcia, był *Compsognathus* o trzech palcach w tylnych i tylko dwóch w przednich kończynach. Inne mocno ptasie to *Segisaurus* i szczególnie *Avimimus*, czyli „naśladowca ptaka”, znaleziony przez Rosjan. Tuż obok autorzy lokują sławnego archeopteryksa, pierwszego ptaka, albo w każdym razie mocno ptakowatego jaszczura z piórami, ale i zębami. Klóćą się uczeni od dawna, czy on mógł latać, czy raczej tylko podskakiwać. Dalej idą ornitomimidy, czyli dinozaury strusioвате. Zupełnie ptasie głowy, potężne stopy o trzech palcach, cienkie przednie łapki, długie cienkie szyje. Prawdopodobnie bardzo szybko biegały uciekając przed niebezpieczeństwem. Jak dotąd odnaleziono po świecie osiem gatunków, nazywając je to od ptaka, to od krokodyla, to od jaszczurki. Były nieco większe od poprzedników, mając przeciętnie po trzy metry z hakiem, a wywodziły się na ogół z epoki kredowej, były więc raczej późne. Wchodzą tu takie rodzaje: *Archeornithomimus* z Ameryki Północnej i Chin, *Gallimimus* czterometrowy z Mongolii, *Struthiomimus* i inne.

Strasznie ich wiele i co pomniejsze trzeba po prostu pominąć. Ale nie można zapomnieć o dromeozaurach, czyli biegaczach zaopatrzonych w potworne pazury, przeważnie dwumetrowych, znanych z sześciu rodzajów. Wśród nich *Velociraptor*, czyli „bystry rabuś” rozślawiony przez książkę Crichtona i film Spielberga. To te, nie największe, ale za to najstraszniejsze, szybko uczące się potwory atakujące zbiorowo nawet tyranozaura. W filmie rzecz na tym się kończy, ale w samej powieści rozpoczynają podbój świata. Podejrzewam, że Spielberg zostawił sobie ten motyw do ewentualnego filmu „Ogród jurajski II”. Przypuszcza się, że dromeozaurowi miały większy mózg niż inne podobne dinozaury. A w każdym razie miał mieć taki mózg *Saurornitholestes*, stosunkowo mały jaszczur z Kanady.

Na pewno zaś miały znacznie większe mózgi zaurornitoidy, pokrewne poprzednim, ale o mniejszych pazurach, wielkości mniej więcej człowieka. Miały wielkie oczy, obdarzone prawdopodobnie widzeniem w nocy, stąd uważane za rozbójników nocnych. Co i logiczne, bo przecież mimo braku ptaków jakiegoś „sowy jurajskiej” istnieć musiały. Lecz może kwestia sowego widzenia nie była tak istotna, jeśli rzeczywiście dinozaury miały tak dobry węch, że mógł zastąpić oczy. Ale ten duży mózg wydaje się najważniejszy. Z dwóch gatunków znalezionych w Rumunii, *Bradycneme* i *Heptasteornis* zostało tylko po kawałku kości, z innego parę zębów, ale dwa najważniejsze i pokrewne gatunki znane są lepiej. Jest to *Saurornithoides* z Mongolii i *Stenonychosaurus* z Kanady. Pierwszy miał mózg sześć razy większy od krokodyla, drugi większy od ptaka emu, ważyły po około czterdzieści pięć kilo, miały ręce zaopatrzone w trzy pazury. Właśnie tego dinozaura uczeni podejrzewają, że mógł z czasem zdobyć inteligencję i stworzyć cywilizację. Jego domniemany model jest ustawiony w muzeum w Ottawie, przedstawiając nieco dziwnego dinozaurowo-człowieka o trzech palcach, nieco dziobowatej twarzy i schowanych w środku męskich narządach rodnych. To miałyby być ta wielka alternatywa dla ludzkości. Gdyby powstała, albo my nie moglibyśmy się narodzić, albo jednak jakoś zrodzeni pędzilibyśmy życie na nieustannych, straszliwych walkach z naszymi konkurentami. Ciekawe, że te względnie inteligentne dinozaury powstały w epoce kredowej, a więc późno, już na schyłku gadziego królestwa. Może nie miały już czasu, aby dopełnić swojej transformacji w istotę inteligentną. A może przesadzamy mimo wszystko: mózg sześć razy większy niż krokodyla to i tak w dalszym ciągu mniej niż u psa.

Wedle systematyki, ale już trochę mniej wedle naszego zainteresowania, lokuje się pięć gatunków elmizaurów i szczególniejsze nieco owiraptory, czyli porywacze jaj znalezione w Mongolii. Co rozszerza trochę menu całej tej grupy „drobnych” drapieżników i łupieżców. „Drobnymi” jedynie wedle skali triasowo-jurajskiej, bo przecież przeciętna długość takiego małego dinozaura to było coś ze dwa–trzy metry, czyli on jednak był wielkości tygrysa. I było ich przecież wiele, nawet wedle posiadanych szczątków jest tego niemal setka różnych gatunków. Małych drapieżników naszych czasów, jeśli brać pod uwagę całą kulę ziemską, jest też немало, gdy zliczymy te wszystkie kuny, lisy, szakale, rysie, oceloty, łasice, wydry, rosomaki i co tam jeszcze stary Brehm wyliczył. Ale są na ogół mniejsze. W mezozoiku co prawda też były drobne ssaki, może właśnie takie myszy tamtych czasów, więc było co łapać. Ale te dinozaury jednak szalenie małe nie są – chyba że się ich kości nie dochowały. A co by znaczyła mysz dla takiego tygrysa? (Choć pewnie też by zjadł, ale musiałoby tego być na kopy, żeby to poczuł). Można się domyślać, że te mniejsze dinozaury atakowały w gromadzie, tak jak czynią to wilki polując na jelenia. Dla człowieka w każdym razie takie drobne to by one nie były. Prawdopodobnie część ich, a może i wszystkie żywiły się padliną, jeśli jaka była do dyspozycji. Ale przecież nawet wśród żyjących dzisiaj gatunków obyczajów jest tak wiele, że trudno tu cokolwiek uogólniać. Chyba właśnie padliny szczególnie nie lubią, raczej już pozerają żywcem. Stąd z pewnością bylibyśmy zdumieni, gdybyśmy mogli zobaczyć je w naturze, a nie w kamieniu, zdumieni różnorodnością właśnie. Bo trudno uwierzyć, aby te dość podobne, jeśli idzie o kształt i możliwości drapieżniki, zajmowały tylko jedną niszę ekologiczną. Szybko w takiej niszy zrobiłoby się bardzo głodno.

Trochę dziwi umieszczanie w pobliżu tego wszystkiego naszego deinocheirusa, no, ale gdzieś go trzeba było uplasować. Ten deinocheirus, czyli „o strasznych rękach” to nasz beniaminek, duma narodowa, jeden z dowodów wysokiego stanu kultury i nauki w Polsce w ostatnim półwieczu. Krótko mówiąc polska zdobycz mongolska. Szczególnie umiłowały go panie: wyprawę zorganizowała profesor Zofia Kielan-Jaworowska, nieomylnym kobiecym instynktem pożądamc potężnego ramienia, a wydłubały z kamienia, opracowały i nazwały Halszka Osmólska i Ewa Roniewicz (obie z tytułami profesorskimi), pozornie tylko odrywając się w tym celu od normalnych dla kobiet zainteresowań harlekinowych. Pisałem już o kobiecej fascynacji potwornością, bestią, smokami – można sobie wyobrazić rumieniec i ogień zarazem, z jakim uczone dziewczyny wypakowywały skrzynie ze szczątkiem tego prawdziwego mężczyzny. Pełna nazwa, jaką mu dały, brzmi *Deinocheirus mirificus*, czyli „dziwny strasznoręki”. Brzmi w tym nieklamany podziw.

A na to Teresa Maryańska: „Fe! brzydki antyfeministo, seksisto! W «dziwnym strasznorękim» nie brzmi podziw dla tego rzekomego samca, bo on może tak samo dobrze być samicą (u dinozaurów trudno płeć rozeznać, a co dopiero po rękach). A jeśli była to ona, «strasznoręka», to co? Cała konstrukcja literacka się sypie! A może już nie tylko «harlekinowe» zainteresowania, ale i zachwyt nad wielką prawdziwą samicą (i co za tym idzie dewiacje seksualne). Była opisana wcześniej «straszna noga» (i to przez chłopca, i do tego Amerykanina) i została opisana przez polskie baby «straszna ręka». Jako też, wmawianie kobietom–paleontologom fascynacji smokami, potwornościami, bestiami i zgrywy z rumieńca na twarzach są delikatnie mówiąc humorem niskiego lotu. Fascynacja była i będzie zawsze, bo bez niej nie ma właściwego stosunku do nauki, ale nie smokami i potwornościami, tylko Naturą i jej odkryciami (nie chodzi tu o żadne golizny!); rumieniec emocji – też prawda, szczególnie przy prowadzeniu prac wykopaliskowych, gdy spod skał wyłania się kość po kości coś nowego, nieznanego; czy będzie cały szkielet? A już tak naprawdę, to nurtuje mnie pytanie, dlaczego w tak mało śmiesznym i złośliwym kontekście umieszcza Pan nazwiska trzech znanych i cenionych na świecie polskich kobiet. I nie daje mi satysfakcji podana na następnej stronie uwaga, że wierzy Pan w «dzielne Polki» – one nie muszą być dzielne, byleby były mądre (a te trzy podane z nazwiska takie są). I do tego, gdy czytam na str. 89 «Można się dowiedzieć, ale, o ironio! właśnie od Anglików i Amerykanów, że Polska jest jednym z najpoważniejszych na świecie ośrodków badań naukowych w tym względzie» – to już mnie bierze cholera, a kto jest temu winien, jeśli nie tacy, którzy zamiast rzeczowego, dobrego słowa, piszą takie dyrdymały jak te na str. 55. Jest w tym istotnie ironia! To co, my same mamy o sobie pisać, że jesteśmy Wielkie i wystawiać sobie autolaurki. Mogą to robić ci, którzy się na tym znają, jak właśnie Amerykanie czy Anglicy, a ci, którzy się mniej znają, nie powinni się temu (co najmniej) dziwić ani z tego szydzić”.

A ja, żałośnie: Na tarbozaura! Kajam się, lecz nie całkiem, bo nie ironia w tym żarcie, lecz szczerzy podziw. Dowodem, że właśnie Teresę Maryańską światowe źródła wymieniają z atencją, którą z całą dumą narodową podzielam. Przyjmuję też pokornie, że ten *Deinocheirus* mógł być samicą, może i dziewczicą jeszcze, bądź też bogobojną matką i matroną. Wszystko, co nieskromne, odszczekuję pod stołem jak parszywy triceratops.

Deinocheirus, dinozaur z okresu kredy, więc już późny, składa się w warszawskim, jedynym w świecie wydaniu z dwóch trójpalczastych rąk, każda długości dwóch metrów siedemdziesięciu centymetrów. Pojedynczy pazur ma 25 centymetrów długości! Jak musiała wyglądać całość? Oczywiście, mogło być i tak, że właśnie reszta była skromniejsza, mniej to jednak prawdopodobne, zważywszy, że szczątki zwierzęcia pochodzą z późnego okresu bardzo rozwiniętej skłonności do gigantyzmu. Może to i był największy potwór wszystkich czasów, po prostu prawdziwy smok? Trudno to stwierdzić z pewnością, gdyż jak pisałem, żywe smoki stały się w naszych czasach bardzo rzadkie.

Coś mi się tu jeszcze kojarzy. Była legenda, że przewiezienie do innego kraju szczątków strasznego wodza (ale o którego szło nie pomnę) Dżingis-chana czy Tamerlana (tak, to był Tamerlan, przewiezieniu jego sarkofagu z centralnej Azji do Rosji w 1941 przypisywali Rosjanie wybuch wojny niemiecko-radzieckiej) musi wywołać potworny kataklizm. Podobnie mówiono o złowieszczej mocy koni Lizypa. Więc wyobraziłem sobie, że wydobyto z ziemi i przewieziono za Ural drapieżne dłonie demona, od których rozpała się zakaukazia i jugosławie, a może i coś więcej. Cóż, była już wojna o Helenę, czy to Halszka gorsza?

Deinocheirus nie pasował do celurozaurów, bo te, choć miały ręce, to były małe, ani do karnozaurów, bo te z kolei ze słusznym wzrostem miały upośledzone i skarłate kończyny przednie. Został więc jako jedyny w swoim rodzaju. Ile ich było? Jakich miał przodków i kuzynów? Czy miał potomków? Może nigdy nie będziemy wiedzieli, choć ja nadal wierzę w dzielne Polki.

Od tych drobnych, to znaczy między tygrysem a słoniem form, przejdźmy do całkiem już poważnego, wagi zdecydowanie ciężkiej podrzędu *Carnosauria*, czyli mięsożernych. Chyba ich było znacznie mniej, choć systematyka notuje osiem rodzin, czyli ładne kilkadziesiąt gatunków. Ciekawe. Gdybyśmy podliczyli wielkie drapieżniki naszego świata ssaków, to (poza tym, że w porównaniu z karnozaurami byłby to zwyczajny drobiazg, którego by się nawet nie oplaciło łapać) okazałoby się, że w porównaniu z dinozaurami byłoby ich znacznie mniej. Lew, tygrys, pantera, jaguar – co właściwie więcej dużego? A nawet jeśli dodamy białego niedźwiedzia i parę innych wszystkożernych, to się okaże nie tak wiele. Myślę, że to trochę złudzenie. Nasz czwartorzęd nie trwa tak długo, a licząc w ten sposób nie myślimy o zwierzętach wymarłych, tylko o żywych i obecnych. Czyli porównujemy jedną chwilę z dwustu milionami wymarłych lat. A przecież nie jest tak, żebyśmy mieli komplet wszystkich zwierząt z jakiegoś niedługiego okresu jurajskiego czy triasowen i wiedzieli na pewno, co aktualnie żyło, co już wymarło, a na co się nawet muchy nie gonią. Więc te wielkie drapieżniki nie były sobie wcale współczesne, tak jak współczesnemu tygrysowi nie jest współczesny trzeciorzędowy tygrys szablastozęby. Te różne odmiany allozaurów, tyranozaurów i tarbozaurów dzielą w istocie rzeczy miliony, dziesiątki milionów lat. Wiemy mniej więcej na pewno, że im później, tym bardziej gigantycznie rosły jaszczury. Kto zresztą wie, czy gdyby naszym lwom nie dać leszcze ze sto milionów lat czasu bez ludzkiej ingerencji, to czy by się nie pozmiały w bestie ze złego snu. Ale pewnie są tu jakieś ograniczniki biologiczne, których wielkie gady nie miały.

A oto rodziny *Carnosauria*: *Teratosauridae*, *Megalosauridae*, *Allosauridae*, *Ceratosauridae*, *Dryptosauridae*, *Spinosauridae*, *Tyranosauridae*, *Itemiridae*. Wszystkie one mają w mniejszym lub większym stopniu skrócone ręce i bardzo potężne nogi. Największe są tak ciężkie, że powątpiewa się w ich umiejętności myśliwskie – byłyby zbyt masywne – podobno – by ścigać zwierzynę. A więc musiałyby się na kształt hien i szakali żywić padliną. Ale co jaki czas można by znaleźć padłe zwierzę wielkości takiej, by choć w zarysie nakarmić tyranozaura? Wiemy przy tym, że obecne wielkie i ciężkie zwierzęta potrafią rozwijać wielkie szybkości, a skądinąd olbrzymie roślinożerce, na które miałyby pewnie polować karnozaurowie, też chyba na swoich słupowatych nogach Kusocińskiego nie przypominały.

Uzbrojone były straszliwie i też chyba nie na okoliczność padliny. W ogromnych głowach znajdowały się zakrzywione zęby wielkości noży kuchennych. Towarzyszyły temu trzy szpony rąk i straszliwe, szponiaste twarde paluchy nóg. Kości korpusu stanowiły wewnętrzny pancerz. Ich przodkami miałyby być *Teratosauridae* z późnego triasu znane z czterech rodzajów: zanklodona, basutodona, pikrodona i samego teratozaura długiego na sześć metrów i ważącego około tony. Po nim przyszły megalozaurowie odnalezione w wielu miejscach świata, w Afryce, Azji, Europie i Ameryce Północnej, więc pewnie pospolite. Od wczesnego okresu



jurajskiego poczynając znaleziono dotąd szczątki siedemnastu gatunków. Początkowo niewielkie, z czasem osiągnęły rozmiary słonia.

Ośmiometrowy *Carcharodontosaurus* został tak nazwany na cześć białego rekina *Carcharodona*, żył na obecnej Saharze, na której chyba tylko „Stolicznej” wówczas brakowało, a było to we wczesnej kredzie.

Natomiast sześciometrowy, znany tylko z Arizony, *Dilophosaurus* miał na głowie dwa kościane grzebienie i *en face* przypominał średniowiecznego diabła. To ten dinozaur, który u Crichtona–Spielberga pluje jadem, chociaż po prawdzie wielki przewodnik dinozaurów drapieżnych Gregory S. Paulego nic o jadowitości dilofozaura nie wspomina. („Predatory dinosaurs of the world”. Nowy Jork 1988). Ale przecież, po raz któryś przypominam, o prawdziwych właściwościach i cechach dinozaurów nic nie wiemy w istocie. Chciał truć Spielberg śliną, to truł. Dobrze, że nie pokazał pożerania po kawałeczku, które w książce-horrorze jest strasznie detaliczne.

Z innych gatunków zostało różnie: bywa, że kawałek kości z miednicy, to znów pojedynczy ząb, czasem więcej. Zawsze w opisie te same dość krótkie, lecz masywne ręce, potworne nogi, krzywe, ostre jak brzytwa zęby. Sam megalozaur miał metrów dziewięć, ważył około tony i – jak podejrzewają – mógł się, chodząc na dwóch nogach, kiwać na boki jak kaczką. Czy miał także smak kaczki, czy byłby dobry z borówkami, wykopaliska niestety milczą.

Tak docieramy do jednego z najsłynniejszych i najchętniej opisywanych dinozaurów, do allozaura. Bywa on nazywany tygrysem swoich czasów, co dla mnie niezupełnie jasne, bo wszystkie te bestie są przecież w sumie do siebie podobne i pewnie podobnie się zachowywały. Allozaur może był nieco zwinniejszy, jak przypuszcza „A field guide” (a może nie), może biegał i pływał, w każdym razie niektórzy tak przypuszczają, może i polował w grupie. Niemały i nie za duży, ze dwie tony wagi, trzynaście metrów długości, pięć wysokości. W jednym tylko północnoamerykańskim kamieniołomie znaleziono czterdzieści egzemplarzy tego miłego zwierza. Miał poza wszystkim czaszkę w różnych wypukłościach i otwierał szczególnie szeroko swoją metrową paszczę. Inne jego odmiany znaleziono w Chinach, Francji, Indiach, Argentynie.

Mniejszym o połowę współczesnym allozaura jest *Ceratosaurus*, ulubiony jaszczur uczonych, gdyż narusza świętą zasadę korelacji Cuviera, w myśl której zwierzęta mięsożerne nie mogą mieć rogów. A on właśnie miał, co nie czyniło go wcale łagodniejszym, róg na nosie. Nasuwa mi się tu pewne skojarzenie. Poza diabłem, którego apetyt na mięso grzeszników jest ciągle raczej dyskusyjny niż naukowo dowiedziony, mitologia mówi o jednym rogatym mięsożercy. Otóż królowa Krety, Pazyfae, poczuła gwałtowną skłonność do byka, po czym ukryta przez Dedala w sztucznej jałowce zdradziła swojego męża, Minosa. Z tego romansu przyszedł na świat Minotaur, rogaty potwór, któremu w Labiryncie składano w ofierze ludzi. Dopiero Tezeusz z pomocą Ariadny i jej nici (ale i solidnego miecza) położył temu kres. Nie wiem jednak, jakie Minotaur miał rogi, o ceratozaurze wiadomo, że róg był krótki, ale mocny. Na dodatek w przednich łapach miał po cztery palce. Z innej, chińskiej jego odmiany zostały cztery palce, a i to podejrzane, że należy raczej do jakiegoś prakrokodyla. Równie niewiele zostało z całego podrzędu dryptozaurów, pewnie i charakter miał nie lepszy.

Równie osobliwe są spinozaury, bo i drapieżne, i osłonięte szczególną konstrukcją z wielkich, wysuniętych ku górze wyrostków kręgowych, z rozpiętą na nich skórą. Coś takiego nosił na sobie starszy i wcześniejszy od dinozaurów gad dimetrodon z grupy pelikozaurów. Spinozaur jest o wiele większy i swoją ozdobę nosi w innych celach niż obronne (ale dlaczego nosił ją dimetrodon, też nie wiemy). Być może był to żagiel słoneczny służący jako ogrzewanie, a kiedy indziej jako chłodzenie, a może ozdoba godowa. Obronnego znaczenia raczej to nie miało, odwrotnie, uczeni twierdzą, że żagiel był dość podatny na uszkodzenie. Były cztery gatunki spinozaurów z różnej wielkości żaglem. Ten właściwy wywodził się z Afryki, z Nigru, Egiptu, już raczej na schyłku kredy, a więc w ogóle epoki mezozoicznej. Żagiel miał

niecałe dwa metry wysokości, a nasz spinozaur dwanaście metrów długości przy wadze sześć i pół tony. Ponieważ jednak był to drapieznik, więc lepiej się z nim w cztery oczy nie spotykać.

Najsłynniejszym i najbardziej dekoracyjnym gadem mięsożernym był naturalnie *Tyrannosaurus*, największy mięsożerca lądowy, jaki kiedykolwiek istniał, dwunastometrowy, siedmiotonowy, o dziewiętnastocentymetrowych zębach, których krzywe krawędzie pokrywa zygzakowata piłka. Chodził na dwóch nogach mając w ten sposób około sześciu metrów wzrostu. Przedstawiany na niezliczonej liczbie rycin i obrazów jest właśnie najpełniejszym wcieleniem grozy. Z człowiekiem wprawdzie spotkać się nie mógł, a dla małych myszossaków specjalnie groźny nie był. Mógł naturalnie takiego naszego pradziadka rozdeptać, ale mogło to z równym skutkiem zrobić każde inne wielkie zwierzę. Natomiast jakże miał go złapać tymi swoimi szczątkowymi łapiętami? Jego przeszłometrowa czaszka również nie nadawała się do łapania myszy. Nawet cały dorosły człowiek byłby tylko niezbyt imponującym kęsem. Nie wiadomo też, jakby wyglądało starcie tyranozaura z jakimś ogromnym trawożernym zauropodem. Są opinie, że tyranozaur był w ogóle za ciężki na to, by swobodnie i względnie szybko chodzić na dwóch nogach, i o polowaniu mowy być nie mogło, że jedynie musiał się kontentować padliną. Nie wierzymy zawistnikom i stronnikom allozaura! A te zarzuty analizowałem już wcześniej. I jeszcze coś bardzo interesującego: tyranozaur miał mózg niewielki w stosunku do masy swojego ciała, ale większy niż u innych dinozaurów i – większy niż mózg człowieka. Pewnie, sprawa proporcji jest decydująca, ale jednak ciekawe dlaczego najstraszniejszy był i najmądrzejszy zarazem?

Tyranozaur znany przede wszystkim ze Stanów Zjednoczonych miał sporo kuzynów po różnych stronach świata. Był albertozaur z Kanady i alektrozaur z Kazachstanu, i alioram z daspletozaurom, i jeszcze inne. Największym konkurentem do tytułu „rex”, czyli „król”, którym się go obdarza, jest mongolski tarbozaur z przydomkiem „batar”, co też króla znaczy. W Polsce jest taki batar, ale jeszcze niedorosły, już nie osesek, ale jednak dopiero do połowy dorosły. Gdyby był dorosły, to kto wie, kto by naprawdę zapanował. Dyskusje trwają, a gorące panienki i tak wołają allozaura, mrużąc o tyranozaurze z pogardą: „intelektualista”.

W ten sposób zbliżamy się do kresu tego, co mniej więcej składnie wiemy o tych dziwnych mięsożernych, które wolały chodzić na dwóch, a nie na czterech nogach, zaś z uwolnionych w ten sposób rąk robiły użytek minimalny. Ale trzeba szczerze powiedzieć, że nauka ma liczne powody do sądzenia, że ta lista jest bardzo niekompletna. Znaleziono niemało kości, które nie pasują do niczego. Jest więc taki *Itemirus* z pustyni Kizyl-kum, są aż trzy mongolsko–chińskie segnozaury, jest wreszcie tajemniczy *Therisinosaurus* znaleziony stosunkowo niedawno w południowej Mongolii. Znaleziono z niego jeszcze mniej niż z deinocheirusa, bo tylko jedno ramię trójpalczaste, trochę krótsze, bo liczące dwa metry czterdzieści centymetrów, z jednym tylko szponem liczącym sobie siedemdziesiąt centymetrów, podobnym do sierpa, istotnie straszliwym. Co to było za widmo złowieszcze? Nie wiadomo, pewne tylko, że żył w późnym okresie kredowym.

I jeszcze bardzo liczne szczątki rozmaitych stworów–potworów, głównie pojedynczych zębów czy szczątków kości, jest tego na piętnaście gatunków, ale nic więcej o nich nie wiadomo. To znaczy wiadomo jedno, bo pochodzą ze wszystkich kontynentów: było znacznie więcej potężnych zwierząt niż zdołaliśmy ich odkryć. Bo któż zaręczy, czy stokroć więcej pojedynczych już ostatnich kości z danego gatunku nie przepało tymczasem na zawsze. Ale chyba na razie wystarczy?

Bo omówiliśmy w ten sposób *Theropoda*, czyli podrząd rzędu *Saurischia*, gadów gado-miednicowych, skupiających wszystkie mięsożerne dinozaury. Po prawdzie był to przegląd nieco monotony, bo poza takimi wyskokami jak *Spinosaurus*, obejmujący zwierzęta mniejsze i większe dość do siebie w tych grupach podobne. Roślinożercy będą znacznie bardziej zróżnicowani.

Nigdy dość przypominania, że zauropody i przedzauropody, zwierzęta trawożerne, niezgrabne, czworonożne i o malusieńkim mózgu chodziły początkowo na dwóch nogach i były w miarę inteligentnymi drapieżnikami. To dopiero wyłączenie jedzenia jarzyn, brak alkoholu i papierosów, zrozumiały w czasach, kiedy się nie dało odkryć Ameryki, bo jej po prostu jeszcze nie było, rzucił je na cztery łapy i pozbawił resztek rozumu. Uważajcie więc bardzo, bracia Polacy, gdy was Maja Błaszczyszyn namawia na kurację surówkową. Któż wie, ilu pacjentów jej zakładu medycyny „Komed” wchodziło tu jako ludzie, a wychodziło na czterech nogach jako kozy z pietruszką w pysku. Tymczasem kręgowce były od początku drapieżnymi mięsożercami, jeśli przechodziły na zieleninę, to ze słabości lub lenistwa, bo jadła, choć mało wydajnego, było pełno. Profesor Henryk Szarski w swej znakomitej „Historii zwierząt kręgowych” tak o tym pisze:

„Mięsożerność jest pierwotną cechą kręgowców. Jeśli jakaś grupa zyska możliwość wykorzystania roślin jako pożywienia uzupełniającego, wówczas (...) może dostać się w tryby ewolucji łańcuchowej szybko doskonalącej roślinożerność. Jedną z cech doboru naturalnego jest niemożność szybkiego usprawnienia wielu cech organizmu równocześnie. Jeśli dobór bardzo silnie premiuje postęp w trawieniu roślin, wówczas niewielki wpływ na wartość przystosowawczą osobnika ma np. doskonałość narządów zmysłowych lub sprawność mózgu. Wobec tego grupa szybko ewoluująca w kierunku roślinożerności stanie się w cechach pozostałych względnie konserwatywna. Natomiast w grupach mięsożerców, dzięki wzajemnej rywalizacji, a także wobec postępów grup roślinożernych, dobór doskonali przede wszystkim działanie mózgu i narządów zmysłowych” (s. 235). Szarski przypuszcza przy tym, że rośliny mezozoiczne były łatwiej strawne niż obecne.

Poza mięsożernym szczepem teropodów pozostałe pięć było roślinożerne, a były to zauropody, ornitopody, stegozaury, ankylozaury i triceratopsy. Wszystkie one z upływem czasu specjalizowały się coraz bardziej, a ta specjalizacja dotyczyła przede wszystkim sposobów obrony przed mięsożernymi teropodami. Te sposoby mogły być rozmaite. Jedne doskonaliły szybkość ucieczki, inne rozwijały pancerze lub broń zaczepną, wreszcie sam rozwój masy ciała mógł powstrzymać napastnika. W ten sposób wyrosły największe zwierzęta lądowe świata – zauropody.

Ale przed zauropodami są „prozauropody”, czyli właśnie „przedzauropody”. Czy one rzeczywiście powstały „przed”, a zauropody dopiero z nich, pewne nie jest. Jedni uważają, że tak, a inni, że nic nie mają wspólnego poza podobną nazwą. Prozauropody, czyli „przed jaszczurzą stopą”, żyły od połowy triasu do wczesnej jury, potem zagięły. Początkowo niewielkie, rosły stopniowo, chodziły na czterech łapach i miały po pięć palców – jak pamiętamy drapieżne w zasadzie po trzy. Były raczej powolne i miały pewien ciekawy zwyczaj trawienia: ponieważ ich zęby tylko częściowo rozcierały pokarm, więc prozauropody łykały kamienie, by te w żołądku mogły rozdrobnić pokarm. Podobnie nasze kury łykają piasek.

Najdawniejsze były staurikozaury, czyli „jaszczury krzyża”, a chodzi tu o konstelację gwiazdną Krzyża Południa, gdyż staurikozaury żyły sobie w środkowym triasie na południu Brazylii i były niewielkie, bo tylko dwumetrowe. W późniejszym nieco triasie nastąpiła po nich rodzina herrerazaurów o ostrych zębach, nieco już większa, bo trzymetrowa. To z nich podobno właśnie miałyby się rozwinąć przyszłe zauropody. Znamy trzy rodzaje tych jaszczurów. Z kolei cztery gatunki anchizaurów, jaszczurów małych, o niewielkich głowach, pięciu palcach i tylnych nogach dłuższych niż przednie miałyby być poprzednikami sławnych plateozaurów.

Sławne dlatego, że na początku naszego stulecia znaleziono ich sporo doskonale zachowanych w Niemczech koło Trossingen, gdzie zostały zagrzebane przed prawiekami przez triasową burzę piaskową. Tamtędy bowiem przebiegał ich doroczny (?) szlak wędrówek znad morskiego brzegu na wyżynę i z powrotem. Plateozauury miały osiem metrów długości, dość

masywne szyje i niewielkie głowy. Prawdopodobnie stawały na tylnych nogach sięgając wierzchołków drzew z pękami liści. Zęby wskazują, że mogły jeść i mięso. Więc gdyby na drzewie siedziała właśnie sroka, to i ją by zjadły z apetytem. Ale sroki nie było jeszcze na świecie, więc ocalała przed głodnym plateozaurzem.

Plateozaurowi właściwe, europejskie, miały sporo kuzynów w różnych stronach świata. *Ammosaurus* był w USA, *Aristosaurus* w Afryce, *Lufengosaurus* w Chinach i tak dalej.

Oprócz tego do prozauropodów należały różne drobniejsze odmiany, między innymi jaszczury „mysie”, muzaury, ledwie dwudziestocentymetrowe w młodości, ale i tak wyrastające do trzech metrów z czasem. Więc właściwie co to za mysz?

O żadnych myszach nie ma mowy, kiedy przechodzimy do zauropodów właściwych, największych lądowych roślinożerców świata. Składa się na nie pięć wielkich rodzin: *Cetiosauridae*, *Brachiosauridae*, *Camarasauridae*, *Titanosauridae* i *Diplodocidae*. Wszystkie one są do siebie podobne. Gigantyczne, dwudziesto-, trzydziestometrowe, na straszliwych słupach nóg, o wadze trudnej do oszacowania, ale wielkiej – 30?, 50?, 100 ton? wszystko może być prawdą. Całym osobnym przedmiotem studiów są tajniki ich budowy, gdyż tak ogromny ciężar nie mógł być rozmieszczony „zwyczajnie”, musiały być tu przez naturę zastosowane specjalne dźwignie, jak przy mostach wiszących. Szyje miały podobne do żyrafich, ale jeszcze dłuższe, przy każdej takiej bestii żyrafa byłaby maleńka. A jednak w ostateczności mogły chyba stanąć na dwóch tylnych nogach, z których każda musiała wtedy utrzymać dziesiątki ton. Prawdą, był jeszcze ogon do podparcia się, gruby u nasady, ale cienki na końcu. Ich sposób bycia jest do dzisiaj zagadką. Możliwe, że brodziły w niegłębokiej wodzie, która w myśl prawa Archimedesza redukowałą ich straszliwy ciężar. Ale wtedy zjawiają się kłopoty z oddychaniem. Przez jakiś czas uważano za niemożliwe, aby zauropody były w stanie chodzić normalnie po suchym lądzie. W tej chwili uważa się, że mogły, ale pewnie nędznie i powoli. Może jeszcze da się coś odcyfrować ze skamieniałej przeszłości. Wiemy jeszcze, że musiały do trawienia używać kamieni, tyle, że nie wiadomo, co właściwie jadały. Są dwie wersje związane z ich żyrafimi szyjami.

Po pierwsze, jeśli brodziły w wodzie, to pewnie sięgały na dno po wodorosty. Jeśli jednak nie były zwierzętami półwodnymi, to mogły sięgać ku najwyższym drzewom, tak właśnie jak dzisiaj to czynią żyrafy. Wątpliwe jednak, czy były tak jak żyrafy wrażliwe i płochliwe. Główki miały małe, mniejsze od końskich, a mózg wielkości kociego. Nie byłoby to źle, mój Syriusz (kot, a nie brontozaur) jest inteligentnym, pomysłowym i kapryśnym zwierzęciem, ale dysproporcja w stosunku do masy ciała taka, że gdyby to przełożyć na miary ludzkie, przypadłby nam w udziale mózg wielkości łebka zapałki.

Na pewno stanowiły pożądany kąsek dla wszystkich drapieżników. Dawniej sądzono, że były bezradne wobec napaści, mogąc się jedynie ewentualnie ukryć w wodzie. Dzisiaj i pod tym względem zmieniono zdanie: megajaszczury mogły przecież deptać, jak to czynią słonie, albo posłużyć się ogonem. Nawet lekkie uderzenie takiego taranu mogło pogruchotać kości każdej istocie. Nie wiemy wreszcie, czy wszystkie odmiany tych gadów miały takie same obyczaje; przecież mogły być pośród nich i lądowe, i wodne, zwawsze i bardziej ociężałe. Na pewno wszystko było bardziej złożone niż myślimy. Domyślamy się, że trzymały się w stadach, a są podstawy do sądzenia, że osobniki młode znajdowały się w jego środku, chronione w ten sposób przed napaścią i niebezpieczeństwem. Ale to znaczy, że i gniazda ich jaj musiały być pod jakąś obserwacją, czy przynajmniej w bliskości. Domyśły, domyśły, domyśły. I wątpliwości. Na przykład, jeśli zauropody miały tak jak inne dinozaury lepszy węch niż wzrok, to rzecz wygląda obłędnie: wybudować tak wysoką wieżę-wartownię i potem umieścić na niej ślepego strażnika?

Zwierzę, o którym mowa, znaleźliśmy do niedawna pod nazwą brontozaur i po prawdzie używamy jej na codzienny użytek dalej. Usiłowałem dojść, co to była za odmiana, ale uczone autorytety podają różne interpretacje. Najczęściej dowiadujemy się, że dawny brontozaur to

teraz apatozaur. A jednak, te wszystkie żyrafoszyje są na tyle do siebie podobne, że bez specjalnych studiów trudno je odróżnić i właściwie wszystkie można tym brontozaurem dalej nazywać. Bardziej to przyjęta nazwa, choć mniej ścisła niż zauropody.

Cetiozaury, czyli zauropody wielorybie, mają aż dziesięć gatunków, ale, żeby było śmieszniej, niektórzy uczeni w ogóle nie uważają ich za osobną grupę. Spotyka się je na całym mniej więcej świecie, mają do piętnastu metrów długości i dziesięciu ton wagi. Najbardziej znane brachiozaury prawdopodobnie wyrosły właśnie z cetiozaurów, ale wszystko w nich większe i dłuższe. Człowiek nie dosięgałby im do kolan, żyrafa do nasady szyi. Brachiozaur ważył tyle, co dwadzieścia słoni, a żył poczynając od środkowej jury. Miał odmian coś z dziesięć, a wśród nich dwie tajemnicze i jeszcze nie całkiem zbadane: *Supersaurus* i *Ultrasaurus*. Pierwszy miał ponad szesnaście metrów wysokości, a trzydzieści długości, drugi, pewnie jeszcze większy, jest obliczany na trzydzieści i pół metra długości i około stu trzydziestu sześciu ton wagi. Oba wywodzą się z Colorado.

Całkiem niewielki przy nim wydaje się *Camarasaurus*, zaledwie dwunastometrowy i ważący tyle co trzy słonie, o krótszej szyi, ale za to długim ogonie. Odmian miał siedem, wśród nich *Opisthocoelicaudia*, odkryta przez polską ekspedycję na pustyni Gobi. Był bez głowy, jak to u nas na ogół bywa, ale być może miał bardzo użyteczny ogon, kiedy przyszło mu stać na dwóch łapach i sięgać ku zielonym koronom drzew. Również niezbyt wielkie były titanozaury z długimi ogonami i szesnastoma gatunkami, najliczniejsze wśród brontozaurów, żyjące w okresie kredowym. Wśród nich był *Succinodon*, czyli Wąskozęby, znaleziony w Polsce, na południowy wschód od Warszawy, w skałach późnokredowych. Rzecz w tym, że ja właśnie piszę książkę w Miedzeszynie, na południowy wschód od Warszawy, więc może gdzieś niedaleko od tego miejsca. Skał tu wprawdzie ani kredowych ani jakichś innych zauważyć nie sposób, jeno piaseczki mazowieckie i laski sosnowe, w lasach nie brontozaury, ale wiewiórki co najwyżej, a mimo wszystko poczułem się krajanem tego succinodona, którego ząb z kawałkiem szczęki wygrzebali nasi zmyślni uczeni.

Lecz tu właśnie Teresa Maryańska sprowadziła mnie na ziemię, pisze bowiem: „*Succinodon* z Polski okazał się pudłem, czyli nie dinozaurem, a małżem”. Oczywiście, szkoda, ale może się jeszcze znajdzie coś bardziej autentycznego?

Inny znów brontozaur, saltazaur z Argentyny, średniej wielkości, wyróżnia się płaszczem pancernym na grzbiecie, złożonym z płytek i rogowych gwoździ, rzecz wśród zauropodów rzadka. Poza tym o co drugim titanozaurze i brachiozaurze uczeni sądzą, że to nie one, ale diplodoki. Te ostatnie należały do największych brontozaurów, a nawet samą nazwę brontozaur stosowano pono do apatozaura. Były stosunkowo niskie, za to bardzo, bardzo długie. *Mamenchisaurus* z Chin ma najdłuższą szyję świata. Wszystkie one miały jakby wydrażone kości, żeby ulżyć olbrzymiemu ciężarowi. A i tak nazwano je początkowo brontozaurami, czyli jaszczurami gromowymi, że niby ziemia grzmiała, gdy przechodziły.

Jest ich jeszcze z dziesięć odmian, z których znaleziono tylko pojedyncze kości. Jest tu i *Atlantosaurus*, i *Barapasaurus*, i *Sanpasaurus* i *Vulcanodon* i inne.

Czemu przypisać ten gigantyzm? Najczęściej uważa się, że głównym kłopotem jaszczurów roślinożernych była obrona przed drapieżnikami. Więc jedne wykształciły szybkość ucieczki, inne zaopatrzyły się w różne obronne maczugi, jeszcze inne opancerzyły się, a zauropody „uciekły w ogrom”. W istocie, niełatwo zabić zwierzę wielkie jak góra. Więc prawie wszystkie one z biegiem pokoleń ogromniały, a czy je to naprawdę chroniło skutecznie, to inna sprawa. Miałem kiedyś koleżankę tak ogromną, że ją to chroniło skutecznie przed męskimi zakusami; sukces dla kobiety dość dwuznaczny, bo została ostatecznie starą panną.

I w ten sposób rozstajemy się z rządem *Saurischia*, czyli gadomiednicznymi. Przypominam, że były to najpierw drapieżne teropody, później zaś łagodne i sałatolubne zauropody. Wszystkie one poczęły się w odległym triasie z tekodontów i poprzez jurę i kredę rozwijały się długie sto sześćdziesiąt milionów lat.

Druga wielka rodzina dinozaurów, *Ornithischia*, czyli o ptasiej miednicy, obejmuje dinozaury ptasiostope i trzy podrzędy pancernych, jeśli idzie o kształty – najdziwniejszych. Zaś ptasiostope, czyli *Ornithopoda*, to bardzo długowieczna i rozrodzona grupa dinozaurów obejmująca mniej więcej siedem różnych rodzin, niektóre bardzo sławne. Początkowo pięciopalce, z czasem redukowały w nogach (bo chodziły na dwóch) do trzech, tak jak to jest u ptaków.

Fabrozaury to zwierzęta małe, wśród nich sześćdziesięciocentymetrowy echinodon, opancerzony skutellozaur i inne z bardzo długim ogonem, przysposobione do szybkiego biegu, mniej więcej metrowej wielkości. Dalej heterodontozaury, także niewielkie, o zróżnicowanych zębach świadczących o wszystkożerności z siedmioma gatunkami, głównie z Afryki Południowej. Dalej dwanaście gatunków hypsilofodontów, niewielkich, czteropalcych, prawdopodobnie bardzo szybkich, zwanych gazelami świata dinozaurów. Ta gadzia rodzina przeżyła sto milionów lat, a miała dwanaście gatunków, od metra do przeszło czterech metrów długości.

Podobny do nich był mały, bo tylko wielkości krowy *Troödon*, tyle że Teresa Maryańska każe go stąd przepędzić, bo był, paskudnik, teropodem, ale ten zachował przyzwyczajenia, mięsożerne obyczaje. Trochę większy, bo trzyipółmetrowy był *Thescelosaurus*, tak jak poprzedni z Ameryki Północnej. Podobnie spore były kamptozaury, a szczególnie trzyipółmetrowy *Callovosaurus*. Miały one prawdopodobnie długie, chwytne języki. Po prawdzie i tak poza specjalistami nikt o nich nie pamięta.

Inaczej jest z iguanodonami (przypomnijmy, że iguana to żyjąca dzisiaj jaszczurka – lewan zielony), jeden z najdawniej znanych dinozaurów, w każdym razie od półtora przeszło wieku. Była z tym cała komedia omyłek, bo najpierw uznano jego szczątki za nosorożca, potem za hipopotama, wreszcie porównano go – też błędnie – z iguaną, co zostało w nazwie do dzisiaj. Domniemane rogi nie były wcale rogami; były to ostre, obronne kciuki. Dopiero znakomity Belg, Louis Dollo stwierdził, że iguanodony chodziły na dwóch nogach, były roślinożerne, no i ogromne, bo dziesięciometrowe z potężnym ogonem, którym się podpierały jak gigantyczne kangury.

Różnych form iguanodonów jest sporo, bo jedenaście. Wszystkożerny był *Muttaborrasaurus*, dziwaczny, kaczodzioby i zaopatrzony w kostno-skórny żagiel był *Ouranosaurus* i tak dalej. Z nich wywodzą się bodaj jeszcze dziwniejsze hadrozaury, zwane inaczej „kaczodziobymi”. Hadrozaury mają coś w rodzaju szerokiego, bezzębnego kaczego dzioba, dopiero w głębi paszczy mają mnóstwo drobnych ząbków. Hadrozaury stojąc na dwu nogach były ogromne, lecz zapewne nie tylko drzewa, ale bardziej parterowe zioła były ich pastwą. Wtedy, oczywiście, opadały na cztery łapy, ale domysłów na temat trybu ich życia jest sporo, że może lubiły las, może wędrowały z północy na południe i na odwrót, i tak dalej.

Kaczodziobych znamy dotąd co najmniej dwadzieścia rodzajów, małych i dużych, z Ameryki i Azji. W Europie był tylko jeden rodzaj: *Telmatosaurus*, a pyszną się nim Węgry i południowa Francja. A pod ogonem takiego zaurolofusa swobodnie mieścił się stojący mężczyzna. Niektóre miały oprócz kaczego dzioba kostne narośle na głowie i być może trykały się nimi z upodobaniem, jak to robią co głupsze barany i politycy. Trzeba zresztą przyznać, że wyglądają one na rekonstrukcjach szczególnie idiotycznie (*Lambeosaurus*, *Parasaurolophus* i *Tsintaosaurus*). Na dodatek były podobno hałaśliwe, a niemałe: dziewięcio-, dziesięciometrowe. Czy ich dźwięk był czymś pośrednim między beczeniem a kwakaniem, czy raczej zagrącał o heavy metal, zgłębić w tej chwili nie możemy.

Do hadrozaurów, czyli kaczodziobych, należy sławna *Maiasaura*, czyli dobra matka z Montany. Są przesłanki, że opiekowała się jajkami, o potem karmiła świeżo wylęgte młode.

W pobliżu „baraniogłowych” ornitopodów znajdują się grubogłowe – pachycefalozaury – o baranich obyczajach. Tu między innymi należy dinozaur o najdłuższej nazwie, za to jeden z

najmniejszych, bo pięćdziesięciocentymetrowy – *Micropachycephalosaurus*. A łącznie jest ich dwanaście odmian o szczególnie grubych i twardych głowach. I tyle na szczęście ornitopodów.

Tu słowo w kwestii baraniej. W brudnopisie pisałem o „baraniogłowych” tak ze zgubną swobodą przekładając „lambeozauiry”, skoro *lamb* po angielsku to młody baran i pieczeń żeń smakowita. Atoli ku mojej konfuzji Teresa Maryańska litościwie wyjaśnia, że to nie od barana te lambeozauiry, lecz od uczonego paleontologa L. M. Lambe...

Za to przed nami trzy rodziny opancerzonych dinozaurów, zakutych w pancerze, mało ruchliwych. Do tego doprowadziła ich roślinożerczość wyłączna! Na początku przecież chodziły dumnie na dwóch nogach, przeżywały emocje polowania, mogły przetrzeć zroszone czoło; stopniowo nie tylko czworonożność i skrępowanie ruchów: nawet i sam mózg wyparował im z głowy przenosząc się w okolice zadka. Dlatego właśnie jarosze są kiepskimi kompanami: nie mogą długo usiedzieć za stołem, gdyż siedzą przecież niejako na głowie... Właściwie jest jeszcze czwarta rodzina, niejako przejściowa – scelidozaurów mających ku obronie jedynie kościane ćwieki, w dwóch odmianach. Scelidozaur właściwy dochodzi do trzech i pół metra.

Stegozaur był znacznie potężniejszy, dochodził do dziesięciu metrów długości i dwóch ton wagi. Nie był taki niski, jak na ogół się sądzi przy pobieżnym oglądaniu ilustracji. Małą główkę miał rzeczywiście nisko opuszczoną ku ziemi, ale ciało wypiętrzało się w górę, od głowy przez kark i cały grzbiet zakryte dwoma rzędami sterczących, pancernych płyt kostnych, siedemdziesiąt centymetrów długich i na tyleż wysokich. Na ogonie sterczały cztery ogromne kolce. Za to pysk był rogowy i całkowicie bezzębny, boki także nie były chronione niczym. W biodrach stos pacierzowy stegozaura poszerza się nagle tworząc drugą komorę mózgową, większą od tej w głowie. Prawdopodobnie kierował on potężnym ogonem-bronią. Miał jedenaście odmian rozsianych po całym świecie.

Jeszcze bardziej potężnie rozrosła się rodzina ankylozaurów, szczególnie pod koniec epoki, w późnej kredzie, być może wywodząca się przed milionami lat od scelidozaura. Ankylozauiry były wręcz całkowicie opancerzone, miały tarcze, kolce, a na końcu ogona ciężką kościaną maczugę. Spokrewnione z nimi nodozauiry maczugi nie miały, ale za to kolce były dłuższe i straszniejsze. Łącznie jednych i drugich odkryto do dzisiaj ponad trzydzieści gatunków, należą więc do najliczniejszych dinozaurów. Były względnie małe, ale i ogromne do jedenastu metrów długości, o rozmiarach i potędze czołgu. Były jednak spokojnymi roślinożercami, możliwe, że także jadły owady.

Ostatnią wreszcie grupą opancerzonych i uzbrojonych dinozaurów były ceratopsy, czyli rogate. Były roślinożerne, trzymały się w stadach, zestawia się je z bydłem bądź z nosorożcami. Były późną, z epoki górnej kredy, odroślą ewolucyjną i miały ogromną liczbę odmian. Wywodząc się od protoceratopsa podzieliły się na liczne gatunki, z różną liczbą i usytuowaniem rogów, różną ich wielkością i kościaną kryzą kryjącą głowę i kark. *Pentaceratops* miał rogów pięć, *Torosaurus* miał prawie osiem metrów długości i ważył osiem ton, *Styracosaurus* miał na nosie jeden, długi róg, a dookoła kryzy sześć długich kolców i przeszło pięć metrów długości. Najbardziej znany jest trójrożny triceratops, którego rogi musiały być ogromne, bo sama kostna nasada liczy sobie dziewięćdziesiąt centymetrów. Ważył ponad pięć ton i miał dziewięć metrów długości. Liczba odmian ceratopsów, a nawet i samych triceratopsów jest ogromna, nie ma sensu ich tu wliczać.

W ten sposób przewinęliśmy się przez całą systematykę dinozaurów i można się zastanowić, co z tego warto pamiętać. Pamiętajmy, że systematykę zwierząt naszego czasu znamy trochę inaczej, niekoniecznie pamiętając na wrywki Linnęusza. Wiemy na przykład, że kot i koza nie stanowią jednej rodziny, a kot i lew – i owszem. Minimum tej wiedzy daje nie tylko szkoła, ale prasa, telewizja, ogród zoologiczny – wszystko. Tymczasem przeszłość to jedynie skruszałe kamienie, nazwy łacińskie, widma bez skóry, koloru, bez jakiegokolwiek sytuacji.

Nie ma rady, tu rzeczywiście trzeba wyjść od takiej abstrakcji, jak systematyka. Do lwa, który w zoo cierpi na niestrawność, mamy jakiś jednostkowy stosunek, zresztą tu zwierzęta mają swoje imiona, patrzą na nas (może czasem z apetytem). Tymczasem w śmierć zwierzęcia, które skamieniało, musi być wplątana jakaś szczególnie dramatyczna sytuacja, by o nim myśleć jako o jednostce. Karmiąca matka, drapieżnik zaplątany w śmierć swojej ofiary – to tak. Ale reszta?

Śmiesznie rzec, że jakieś zwierzę jest ważniejsze od drugiego zwierzęcia. A jednak praktycznie częściej w naszej mowie gości słoń, lew, borsuk niż paka, agama, armadyl, gawiał. W skamieniałym świecie jest podobnie. Trzeba pamiętać wzajemne relacje tylko niektórych gatunków, bądź dominujących, bądź szczególnie niezwykłych. Staralem się tu wskazać na nie. Bez odrobiny wiedzy teoretycznej gubimy się w chaosie szczegółów, na dodatek szczegółów różnie ocenianych przez specjalistów. Więc np. wystarczy, że wiemy ogólnie, co to brontozaur, nie wchodząc w to, czy on brachiozaur, czy diplodok. O słoniu też tylko słoń mówimy, nie dodając w mowie potocznej, czy on indyjski czy afrykański. Po cóż mamy pamiętać nieskończone odmiany tyranozaurów czy tarbozaurów, wystarczy nam wiedzieć, że są takie. Głupio by nam było sytuować na jednym brzegu hipopotama z foką. A takie grube błędy w myśleniu o przeszłości popełniamy bez wahania. Postarajmy się bodaj je ograniczyć, skoro już tak znakomicie wiemy, co to *Ornithischia*, *Ornithomimus* i *Ornitopoda*. Prawda, że nikt nie ma wątpliwości?



## Ku zagładzie

Świat mezozoiku, triasu, jury i kredy był ogromny. Przecież początkowo istniał jeden tylko kontynent, Pangea, łączący wszystkie obecne lądy świata w jeden bezkresny obszar. A gdy potem rozłamał się na dwie części, północną Laurazję i południową Gondwanę, to przecież w dalszym ciągu były to przestrzenie niezmierzone. Ale były to inne krajobrazy. Co prawda nie da się narysować „zbiorczego” pejzażu, gdy ten sam kawałek ziemi mógł w ciągu stu sześćdziesięciu milionów lat być na zmianę pustynią, puszcza, bagnem i dnem morskim. Coś jednak trwalszego musi się zarysować naszej wyobraźni niż pstre migotanie wehikułu czasu.

A więc inna roślinność, która powoli, powoli zaczynała przypominać trzeciorzędową i w konsekwencji nam współczesną. Z tych czasów zostały bory szpilkowe, trochę inne co prawda, został miłorząb, ale jako święta rzadkość. Bo rośliny pospolite wówczas, jeśli ocalały, nie decydują o pejzażu Ziemi ssaków. Są już niemal tylko muzealnym eksponatem. Ale świat zwierząt odmienił się całkowicie.

Czy my często oglądamy zwierzęta? Niestety, bardzo rzadko. Zostały albo wygubione, albo zamknięte w rezerwach i ogrodach zoologicznych, albo kryją się przed człowiekiem. I nie bez powodu, bo od tysięcy lat człowiek poluje na nie bezlitośnie. Możemy je co najwyżej podglądać do momentu, w którym dostrzegają naszą obecność. W moich miedzeszyńsko-otwockich lasach nie ma poza ptakami, myszami i królikami niczego. Czasem pojawi się wiewiórka, w dalekim bajorze zagrają żaby. W buszu Afryki Zachodniej, który zdarzyło mi się zobaczyć, są jeszcze drobne zwierzęta, wielkie dawno przepadły. Ale też się kryją skrupulatnie. Więc raczej wiemy o ich istnieniu, niż je widzimy. Ale właśnie wiemy, jak bardzo różnorodna jest, dopóki całkiem nie wyginęła, fauna Ziemi. Dominują (?) oczywiście ssaki, trzecia wielka, po płazach i gadach, fala życia. Jakże niebywale rozrodzona i zróżnicowana. I całkiem współczesny świat łożyskowców, i pozostałości torbaczy. Ale przecież płazy i gady bynajmniej nie wyginęły całkiem, choć na ogół zminiaturyzowały się. Jest parę tysięcy odmian węży i jaszczurek. Są żółwie i krokodyle. A ponad tym zjawiskowy, kolorowy i wrzaskliwy obłok ptaków.

Świat mezozoiku jawi nam się inaczej. Jeszcze bardzo mało kwiatów, jeszcze skrzypy, sagowce, paprocie. Nie ma ptaków, nie ma ciał gibkich i zwinnych, jeszcze puchate kulki tygrysiąt i niedźwiadków nie zwijają się w szalonej zabawie pod okiem rodziców. Może i dinozaury opiekują się swoimi małymi, ale czy te umieją się już bawić? Jeśli nawet tak, to w sposób mało dla nas zrozumiały. Może nie aż tak brutalne jak sądzimy, ale jednak najważniejsze uczucia to głód i strach. I jednak brutalność jest zapisana w kształtach jaszczurów, wielkich i małych. Mokre światy krokodyli i żółwi i dziś także nie emitują ciepła. Jeśli nie jedzenie, nie atak i nie ucieczka, to nieskończony, cierpliwy bezruch. Czy dinozaury tak ze sobą obcuja, jak zwierzęta na sawannie, gdzie jednak zdarzają się zawieszenia broni, a najedzony lew spogląda bez intencji natychmiastowego ataku na przechodzące niedaleko antylopy. Czy to była ciżba zwierząt, czy ogromna pustka? Bulwary Paryża czy puste przestrzenie Rosji? Wejść do klatki z krokodylami, znieruchomieć jak one, spróbuj ich poczucia czasu, czekaj jak one, nie przeczekasz ich, mają setki milionów lat treningu, nie są „nerwowe” jak ty. Świat, gdzie nie jest „nerwowe”, bo zresztą ma tych nerwów bardzo mało?

Z tym wszystkim dinozaury nie są jednak całkiem same. Nie zapominajmy o owadach, większych na ogół niż współczesne, choć minął już pewnie dewoński i karboński świat siedemdziesięciocentymetrowych ważek. Jest przecież cieplej niż dzisiaj. A owady stanowią istotny szczebel pokarmowy, podobnie jak i dzisiaj dla ptaków. Są ciągle jeszcze niedobitki wcześniejszych gatunków zwierzęcych, z poprzednich, starszych pięter historii życia.

Nade wszystko jednak w powietrzu szybiują same gady, krewni dinozaurów. Gatunków latających odkryto dotąd około czterdziestu, co jest dość mało, jeśli porównamy to z dzisiejszą cizbą ptaków. Ale wykopaliska tego rodzaju są rzadkie, drobne kostki latających stworzeń źle się przechowują, więc może to tylko cząstka. Najpierw jeszcze w osiemnastym wieku odkryto niewielkiego pterodaktyla, nazwanego tak później przez Cuviera, we Włoszech pojawił się *Budimorphodon* z późnego triasu, z jury wygrzebano ramforyrtchy, które różniły się od pozostałych długim ogonem zakończonym dodatkową błoną, z kredy pochodzi wielki *Pteranodon*, którego odmiana najbardziej okazała, *Quetzalcoatl*, miała piętnastometrowej rozpiętości skrzydła.

Uczeni ubolewają nad tymi pteranodonami, że ich skrzydła składają się z jednej tylko błony, łatwej do rozerwania, co musiało powodować śmierć zwierzęcia. Niby tak, ale jak w takim razie przeżyły dziesiątki milionów lat? Musiał być w tym chyba jakiś sekret; może jakieś chrząstki, ścięgna, bo ja wiem, coś, co w każdym razie pozwoliło im usztywniać tę swoją lotną błonę i przetrwać niezmiernie długo. Miały różne cechy ptasie, mózg między innymi, szybowały udając albatrosy, miały zęby, ale i bezzębne dzioby, lecz to nie z nich rozwinęły się później ptaki. One same przypominały raczej nietoperze, ale o wielkich pyskach. Za to prawie na pewno były stałocieplne, bo na ich skórze odnaleziono ślady po włosach. Jakby tam nie było, to wdzięku za wiele nie miały, na rysunkowych rekonstrukcjach raczej służą do straszenia. W istocie ich skrzydła przypominają nam smocze, a piętnastometrowy gad musiał być nie lada straszylem.

Morza również były pełne życia, szczególnie wtedy, gdy kontynenty rozsunęły się tworząc dodatkowe zbiorniki wodne. Były tam oprócz niezliczonych gatunków bezkręgowców i ryb także rybojaszczury, ichtiozaury podobne do delfina, od metra do dwunastu długie, o płetwach powstałych ze skróconych łap, w których powiększyła się liczba palców. Ich pochodzenie jest ciągle nie znane. Obok nich pływały plezjozaury, znacznie mniej zrybiałe, o długich giętkich szyjach i ogonach, lekkim brzuszonym pancerzu i czterech łapach. Z ichtiozaurami nic ich nie łączyło, w ogóle nie chciały z nimi gadać. Dorastały do piętnastu metrów. Były jeszcze plakodonty i wreszcie późna, kredowa grupa stosunkowo mniejszych, czteroseściometrowych jaszczurek morskich, mozazaurów (od rzeki Mozy), o silnej, drapieżnej paszczy, rozpowszechnionych na całym świecie. Wyginęły doszczętnie w końcu okresu.

A co nam zostało z tych lat? jeden tylko rząd gadów naczelnych, czyli archozaurów, które, gdyby wyginęły, zwałibyśmy dinozaurami: krokodyle. Praojciec rodu, triasowy *Protosuchus* miał zaledwie metr, w jurze krokodyl uzyskuje swój specyficzny wdzięk i urodę i tak już trwa mniej więcej do dzisiaj, z tym że większość krokodylej rodziny jednak wymarła. Dla wiedzy o dinozaurach obyczajnie krokodyla mają kapitalne znaczenie. Wiemy więc, że krokodyle opiekują się jajami i dziećmi, że przenoszą je paszczą do wody i przebywają razem około ośmiu tygodni. Jak wiemy z tradycji narodowej – polskiej – krokodyl był uważany za najwłaściwszy prezent dla młodej narzeczonej.

Bardzo szacowna rodzina żółwi przetrwała mało zmieniona od triasu, rozradzając się na liczne gatunki wodne, morskie i lądowe. Akurat Polska jest dość uboga w te stworzenia, ale gdzie indziej, na południu, w Ameryce Południowej są one bardzo liczne. Najokazalszy jest żółw morski *Chelonia mydas*, który od pięciocentymetrowego oseska wyrasta w ciągu paru lat do dwustu pięćdziesięciu kilo. Większe jeszcze bywały żółwie z rodzaju *Geochelone*, bo do czterystu kilogramów. Ale wszystkie je przewyższała plejstocieńska *Miolania*, o pancerzu pięciometrowej długości. Żółwie są przykładem długowieczności, nie wiadomo tylko dobrze jakiej, bo najdłużej obserwowany żółw po stu pięćdziesięciu latach zginął w wypadku. Długo żyją także słynne żywe skamieniałości – hatterie (100 lat) na odludnych wyspach Pacyfiku. Bardzo wielka jest mnogość jaszczurek wszelkiego autoramentu i węży, bo około sześciu tysięcy gatunków. Tak, że właściwie z epoki dinozaurów nie pozostało tak mało. Ale nie zawsze były to te same rodzaje.

Z pradawnych gadów kotylozaurów wyłoniły się jednak dwa wielkie królestwa zwierząt, ssaki i ptaki. Dziwna była rywalizacja tych dwóch drzew życia. Ze wspólnego pnia wyłoniły się terapsydy i tekodonty. Terapsydy, gady ssakokształtne, królowały jeszcze na początku mezozoiku przepędzając tekodonty po kątach. Potem z tekodontów wyłoniły się dinozaury, które zgnębiły i skazały naszych gadziossaczych przodków na sto kilkadziesiąt milionów lat mysio–nocnego bytowania. W trakcie tego narodziły się z pnia dinozaurów ptaki, i kiedy skończył się mezozoik, one zapanowały w powietrzu, jak my na ziemi. Ale coś w nich zostało z pradawnego okrucieństwa, z bestii apokaliptycznej, z drapieżnego gada, co błysnęło na chwilę w „Ptakach” Hitchcocka. Literatura zanotowała scenę jeszcze bardziej poruszającą. Otóż w „Huzarze na dachu” Jeana Ciono, będącym opisem zarazy na południu Francji, z wypełnionych trupami domów wybucha wręcz chmura spłoszonych śpiewających małych ptaków żerujących tam na trupach. Przecież owadożerne to znaczy w istocie mięsożerne, więc śpiewające skowronki i słowiki skwapliwie skorzystały z nastęrczających się stosów białka. Myślę, że ani Giono, ani Hitchcock nie interesowali się paleontologią, ale intuicja twórcy podsunęła im te obrazy konkurencji obu szczepów, konkurencji trwającej setki milionów lat. Tylko że przyjmując za współczesnym dinozaurowiedem R. Bakkerem ten rys wypadków, wszyscy czynimy się bezpośrednimi spadkobiercami wczesnych gadów. A konkurencja rodów może wcale jeszcze nie jest zakończona...

Do tego rodzaju pytań szczególnie skłania znakomita książka Marcina Ryszkiewicza „Mieszkańcy światów alternatywnych”, wyd. „Wiedza Powszechna”, 1987, w dużej części poświęcona dinozaurom. Autor zadaje ogólniejsze pytania, o rolę przypadku w historii życia, o to, czy rzeczywiście jesteśmy jedynym i nieuniknionym szczytem stworzenia, czy musieliśmy być najlepsi. Jesteśmy jedynymi posiadaczami inteligencji i tego, oczywiście, Ryszkiewicz nie kwestionuje. Lecz nie było to niczym zagwarantowane, a nasi dalecy przodkowie nie posiadali na wyłączność cech, które przesądzały o „zwycięstwie” ich prawnuków. A gdyby nawet historia mogła się powtórzyć, to prawdopodobnie i tak potoczyłaby się inaczej.

Książka Ryszkiewicza wyrasta z nurtu „rehabilitacyjnego” w stosunku do dinozaurów, który z kolei świadczy o zasadniczej zmianie sposobu widzenia świata, człowieka, zwierzęcia i życia w ogóle. Kryzys ideologii antropocentrycznych wyrastających z pnia judeo-klasycznego zaczął się wraz z przewrotem Kopernikańskim, zyskał duchowy wymiar wraz z Teilhardem de Chardin i kulminuje teraz w ruchu *New Age*, co prawda niosącym ze sobą niebywałą masę intelektualnego i duchowego chłamu. Ale do tego jeszcze wrócimy. Jeśli idzie o dinozaury, to ich rehabilitacja wiąże się z paroma nazwiskami, jak Robert Bakker, autor prowokacyjnej pracy „O wyższości dinozaurów” (1968), John Ostrom, Armand de Ricqlès i inni.

Ale wcześniej jeszcze musiała się dokonać rehabilitacja zwierząt w ogóle. Od koncepcji „żyjącej maszyny” poprzez odkrycie psychiki zwierzęcia, jego uczuciowości, swoistej inteligencji, poprzez prace Lorezna, Dröschera i innych, ponownej fali koncepcji dalekowschodnich. Jak to brzmiało w „Księdze dżungli” Kiplinga? „Ja i ty jesteśmy jednej krwi”. Ale, być może, tego rodzaju klimat duchowy byłby w sposób bezpośredni i Ryszkiewiczowi, i klanowi biologów obcy. W jego książce zdają się trochę walczyć ze sobą dwie skłonności: tamten mezozoiczny, gadzi świat był „bardzo inny” i „mimo wszystko podobny”. Przyznam, że i ja sam doświadczam podobnej dwoistości.

Przy wszystkich porównaniach trzeba pamiętać o niewspółmierności różnych czasów. Ludzkiego, historycznego i czasu ewolucji, epok geologicznych. Drobne przeliczenie: jeśli za okres życia ludzkiego pokolenia wziąć lat siedemdziesiąt, to od upadku Polski w osiemnastym wieku nie minęło nawet trzech pokoleń, od roku tysięcznego minęło pokoleń czternaście, dwadzieścia osiem od narodzenia Chrystusa, czterdzieści dwa od roku 2000 p.n.e., tzn. od upadku Sumeru i wyjścia z Ur Abrahama, a od malarzy paleolitycznych co najwyżej kilkadziesiąt. Gdybyśmy zastosowali ten przelicznik do mezozoiku, to zajęłoby to przeszło dwa milio-

ny ludzkich pokoleń! Gdyby dinozaury miały pisaną historię, to nikt nie byłby w stanie jej opanować (nawet gdyby, jak niektórzy uważają, żyły po dwieście lat). Podmiotem historycznego myślenia staje się wtedy nie jednostka, nie naród, ale sam gatunek. W takim zaś ujęciu historia ludzkiego gatunku liczy sobie może pięć milionów lat. To już z biedą porównywalne, ale bardzo na niekorzyść dinozaurów.

Lecz przecież w punkcie swojego wyjścia, w dobie pelikozaurów, te gadossaki miały kilkadziesiąt milionów lat czasu, by osiąść inteligencję, zanim je dinozaury zgnębią. Nic takiego się nie stało. Nie stało się i dinozaurom. Widocznie po prostu nie było to możliwe dla gadów. Prawda jednak, że od czasu odkrycia dinozaurów ich wizerunek bardzo się zmienił na korzyść. Początkowo były uważane za bezdennie niezgrabne i głupie. Obie sprawy zrelatywizowano, choć jak takie rzeczy nie mają być relatywne? Co to by znaczyło „obiektywnie” zgrabne lub „obiektywnie” mądre? Dziewczyna jest zgrabna, żółw nie – ale to mój punkt widzenia, żółwica trzyma o tym zapewne całkiem inaczej.

Odkryto (lub paleontologom się zdaje, że odkryli) u dinozaurów stałocieplność. (Trochę tu inna terminologia i mechanizm spraw, ale zostawmy to uczonym). Warunek podobno niezbędny wyższego życia duchowego. (No, nie wiem. Znałem dziewczyny o bardzo zmiennej temperaturze uczuć, lecz wcale niegłupie). Dalej: znaleziono dinozaury wszystkożerne, a to też aspekt niebagatelny. No i dwunożność, postawa spionizowana. Ale może te trzy warunki nie zbiegły się razem? A pewnie jeszcze tych warunków rozumności jest stokroć więcej. Wystarczyło na pewne elementy życia społecznego. Ale te dostrzegł Gaston Viaux już u owadów, i to nie mrówek czy termitów. Zaczyna się to właściwie z pewnym wdziękiem: samce jakiejś muszki latają cały dzień swobodnie, a dopiero pod wieczór gromadzą się wspólnie na tych samych gałązkach. A może było coś takiego i u dinozaurów (nie na gałązkach, oczywiście)?

Matka karmi swoje młode. Instynkt czy miłość? Ale takiego pytania właśnie bym nie postawił, bo to samo, acz w innym uszeregowaniu dałoby się odnieść i do miłości macierzyńskiej człowieka. A tymczasem, jak myślę, na żadnym piętrze życia nie da się tego zredukować wyłącznie do jednego elementu, jedno nie obywa się bez drugiego, a, jeśli pominąć stronę intelektualną, w miłości Einstein nie był oryginalniejszy od triceratopsa.

Ale zestawienie z człowiekiem nie jest celem tych porównań. Właściwym odniesieniem zachowań gadzich są przecież ssaki jako całość. I tu rzeczywiście odkryto podobieństwa, czy może zachowania równoważne. Gady najprawdopodobniej umiały zespołowo polować, więc i dzielić się łupem. Umiały chronić swoje młode, nie tylko w fazie wczesnego dzieciństwa. Być może nie było w tym lisiej chytryści, ale i tego właściwie nie wiemy. Faktem jest, że świat ssaków i gadów łączy wielorakie analogie. Ichthiozaur odpowiadał delfinowi, drapiezniki drapieżnikom, nietoperze pterozaurom. I tu dinomędrzy z jednej strony ukazują człowieka, z drugiej opatrzoną znakiem zapytania konstrukcją o ogromnych oczach i ptasiej twarzy, łuskowatą: dinozauroida. To, czego gadom zabrakło. (Zobaczmy jeszcze, że autorzy *science fiction* starają się zapełnić tę lukę). Uczni znaleźli wprawdzie jaszczura o szczególnie wielkim mózgu, stenonychozaura, który się zapowiadał na tyle interesująco, że to on właśnie mógłby ewentualnie stać się owym dinozauroidem.

O niewielkim mózgu dinozaurów naukowcy zaczynają też mówić nieco łaskawiej: że po prostu wystarczał w danych okolicznościach. Natomiast jeśli idzie o władze zmysłowe, dinozaury mają się coraz lepiej, już nie tylko węchem nas przerastają, ale także ich świat był może bardziej kolorowy niż nam się wydaje. Otóż ssaki widzą podobno świat raczej w wersji czarno-białej. Choć nie wszystkie. Człowiek widzi kolorowo, ale podobno od nie tak znów dawna, o czym mają świadczyć dość częste przypadki daltonizmu. Natomiast jeśli gady widziały dobrze kolory, to może i same były bardziej kolorowe niż sądzimy. Ma o tym świadczyć bajeczne niekiedy ubarwienie ptaków, dinozaurowych potomków. Ale, jeśli idzie o istniejące do dzisiaj gady, wnioski można wyprowadzać różne. Krokodyle i żółwie mają kolory raczej sto-

nowane i „ekologiczne”. Ale kameleon igra barwami, jak polityk najświętszymi poglądami ideologicznymi. Ale różne kolorowe węże, godowe barwy jaszczurek? Tyle, że są to stworzenia niewielkie, a większe jak krokodyle, żółwie czy warany już tak nie olśniewają. Niczego jednak i tutaj nie wiemy na pewno, chociaż stado brontozaurów w kolorze kanarkowym, z błękitnymi głowami i różowymi ogonami, to zjawisko, którego wręcz nie śmiem sobie wyobrazić.

Tylko gala orderowa księdza Jankowskiego może być jeszcze wspanialsza. W praktyce jednak obowiązywały pewnie jakieś barwy ochronne, a mój cytrynowy brontozaur, jeśli był kiedy jakiś taki, bardzo szybko obudził żywe zainteresowanie allozaurów, też ze swej strony odzianych na szaro, żeby nie płoszyć kolacji. To samo odnosi się do cytrynowego allozaura: zginął rychło z głodu.

Stenonychozaurowi też niekoniecznie pisana kariera praojca Adama: Ryszkiewicz cytuje paleontologa, który sądzi, że gdyby machina czasu przeniosła człowieka w późną kredę, to stenonychozaurus zostałby pewnie udomowiony i odegrał rolę psa domowego. Kariera ciekawa, ale jednak mniej olśniewająca.

Jestem przekonany, że stoimy przed serią wielkich odkryć pośrednich. Paleontolog stał się Sherlockiem Holmesem i prowadzi wielki proces poszlakowy dotyczący zwierząt mezozoicznych. Materiał jest nie tylko wykopaliskowy. Dopiero niedawno i nie do końca zbadano obyczaj krokodyla, a przecież żywe wspomnienia z mezozoiku mogą być rozsiane po tych wszystkich mnogich tysiącach gatunków gadzich. Czy dinozaury bywały jadowite? To jest przecież cecha wielu gadów i płazów. Czy mogły łączyć się w stałe pary? Tak przecież bywa u ptaków. Czy zdarzyło się, że wygrzebywały nory, że magazynowały żywność, że zmieniały kolory, jeśli je miały, w jakiej mierze miały zdolności regeneracyjne, czy jadały raki i czy z koprem? Myślę, że każdy biolog może zadać wiele takich pytań i pewnie nieco mądrzejszych. Ich świat coraz to bardziej ukonkretnia się w naszej wyobraźni, choć mogą to być wyobrażenia błędne. Równie ciekawa jest pasja skłaniająca nas do tego wielkiego śledztwa. Czy rzeczywiście czujemy w nich podświadomie konkurentów? Chyba nam jednak po prostu imponują swoim ogromem, długowiecznością, skalą swojego istnienia. Trochę tak, jak niskim mężczyznom podobają się najczęściej wysokie dziewczyny. (A właśnie wysokich dziewczyn jest coraz więcej i brak już dla nich odpowiednio wysokich partnerów. Niscy podnoszą z otuchą głowy, jak nasze mysie przodki w dzień zagłady dinozaurów). A trochę jak wielkie, barbarzyńskie imperia przeszłości, tłum koni, słoni, wielbłądów, które widzimy albo na majestacie, albo częściej jeszcze w pochodzie. Te dinozaury także jakoś podobnie nieskończoną ciżbą przemierzają równinę (dlaczego mezozoik widzimy jako równinę?) zmierzając w stronę Arki. Ale Arka miała odpłynąć bez nich.

Bo jakiegokolwiek były w swoim kredowym mateczniku za przesłoną wieków, mądre czy głupie, duże czy małe, obiecujące czy wprost przeciwnie, to przecież wyginęły ze szczętem, co do jednego. Został po nich pusty ład, w ziemnych norach małe ssaki, w powietrzu coraz liczniejszy ptasi rodzaj. Życie utraciło swoich popisowych aktorów pierwszego planu, zostali halabardnicy, statyści, którzy długo jeszcze, może przez parę milionów lat będą się kryli w cieniu, do którego przywykli. Miną setki wieków, zanim oni z kolei wyjdą na proscenium. Nic ich już nie krępowało, co najwyżej ostatni dinozaur, krokodyl zakłapał na nich zębami ze swojego błota, a przecież rozprzestrzenienie się ssaków szło powoli lub przynajmniej nam się tak zdaje.

Nie jesteśmy całkiem bezstronni w tej sprawie. To wprawdzie nie my unicestwiliśmy dinozaury, lecz my wyciągnęliśmy ostatecznie korzyści z ich porażki. Czyż szczęśliwy spadkobierca może sobie życzyć zmartwychwstania tego, po kim dziedziczy, choćby sam niczym nie przyczynił się do zgonu? Nie darmo Swinsburne dziękował, „że raz umarli już z grobu nie wstaną”. Gdyby dinozaury ocalały, nigdy przecież nie dopuściłyby do wielkiej radiacji, czyli rozrodzenia się ssaków. Nie powstałyby Naczelne, nie zrodziłby się człowiek. Śmierć dino-

zaurów była niezbędnym warunkiem naszego istnienia. Więc gdybyśmy nawet mogli jakimś ponadczasowym cudem je ocalić, nie podalibyśmy im pomocnej ręki, nie pomogli, ale odwrotnie, jeszcze głębiej wepchnęlibyśmy je w przepaść nieistnienia. Sytuacja, choć fikcyjna, przecież moralnie dwuznaczna. I brak w niej miejsca na jakikolwiek kompromis, a jeśli na litość, to fałszywą i zakłamaną. A przecież świat byłby bogatszy i ciekawszy, gdyby mogły powstać obie cywilizacje, ludzi i dinozaurów. Ale jedna wykluczała drugą i Arka musiała odpłynąć bez Wielkich Gadów. I sytuacji nie zmienia to, czy było to wymieranie powolne i „naturalne”, czy też wydarzyła się jakaś poruszająca cały glob katastrofa.

Być może nauka doszła ostatecznie do tego, co się naprawdę wydarzyło, a może i nie. Ale spekulacje na temat zagłady dinozaurów trwają już przeszło stulecie. Nie jest to przecież jedyna zagłada w dziejach życia, chociaż wyjątkowo spektakularna. Wyginęły przecież już wcześniej płazy, wyginęły ssaki trzeciorzędu, dwadzieścia tysięcy lat temu zginęły mamuty i wygląda na to, że zginęły nagle. Przyczyny, nawet jeśli znane, przecież zawsze pozostają dyskusyjne. To jest mniej więcej tak, jak z upadkiem cesarstwa rzymskiego. Znamy dobrze okoliczności historyczne, mamy bezlik zapisów, a przecież do końca i bez wszelkich wątpliwości nie wiemy, co się właściwie stało, co zadecydowało o takim biegu wypadków.

Czy upadek ekonomiczny, eksport złota do Indii, czy najazdy Germanów, czy kryzys ideologiczny, czy może system wodociągowy złożony z rur ołowianych sączących nieustannie truciznę. Przeróżnych powodów wymienia się bodaj kilkaset i nie bardzo potrafimy przesądzić, który z nich był rzeczywisty, ostateczny i decydujący. A cóż dopiero mówić o czasach tak odległych, kiedy trzeba wnioskować z danych bardzo pośrednich. Przecież była i taka opinia, że żadnej zagłady jednorazowej nie było, że gatunki wymierały kolejno i że trwało to długo i powoli. Jednak nie jest to opinia współczesna. Zbyt wiele przemawia za tym, że zagłada dinozaurów to coś więcej niż horror dla spragnionej strachów publiczności.

Raptowna granica wykopalisk dotyczy zbyt wielu gatunków zwierząt na samej granicy epoki kredowej i trzeciorzędu. Na schyłku kredy świat gadów był bogaty i rozległy. Wiele odmian dinozaurów lądowych, małych i dużych, dwu- i czteronożnych, drapieżnych i roślinożernych. W powietrzu rozliczne odmiany pterozaurów, w morzach ichtiozaury, pleziozaury, mozazaury – i nagle wszystko to znika, sześćdziesiąt cztery miliony lat temu. Równocześnie znikają z mórz amonity. Musi się więc pojawić pytanie o przyczynę, pytanie nie tylko akademickie. Skoro nagle zniknęły dinozaury, któż zaręczy, że nam nie grozi coś podobnego? Ale znalezienie odpowiedzi nie było łatwe.

Już raczej nie mówiono o potopie, chociaż sprawa dinozaurów wsparła w sposób istotny teorię katastroficzną, a ostatecznie nawet przywróciła ją do (częściowych) łask. Mogłoby się wydawać, że dinozaury przegrały po prostu konkurencję ze ssakami. Ale to czyste nieprawdopodobieństwo, bo ssaki były wtedy małymi stworzonkami i miały takimi zostać jeszcze przez parę milionów lat po zagładzie dinozaurów. Więc, w nieco prawdopodobniejszej postaci, miało to wyglądać tak, że ssaki rzuciły się nagle na jaja dinozaurów i niszcząc je systematycznie i przez długie lata wygubiły gady do szczytu. Jaja dinozaurów rzeczywiście rabowano, robiły to same dinozaury jak owiraptor, bardzo możliwe, że gustowały w nich i ssaki. Ale przez długi czas to jakoś dinozaurom krzywdy nie robiło. Poza tym co mogły zrobić ssaki ichtiozaurom i pleziozaurom, które były żyworodne, bądź składały swoje jaja w morzu?

Inne teorie mówią, że zagłada nastąpiła etapami, a zaczęła się od zmiany szaty roślinnej na taką, do której dinozaury roślinożerne nie były dostosowane, wobec czego zginęły najpierw one, potem zaś normalną rzeczą koleją i drapieżniki. Teoria ta powracała w innym jeszcze przypadku, w następnej epoce, kiedy trochę podobnie zniknęły wielkie zwierzęta trzeciorzędu. Tam mówiono o zaniku rozlewisk, a więc i roślin wodnych, i o ewentualnej epidemii odmiany muchy tse-tse. Teraz też mogła przyjść susza. Istniała przecież, zarzucona już dzisiaj teoria, że wielkie brontozaury były zwierzętami brodzącymi, gdyż inaczej nogi nie wytrzymałyby ich własnego ciężaru. Okazało się jednak, że odkryto ślady brontozaurów odcisnięte

na lądzie stałym i rzecz upadła. Poza tym właśnie narodziny i panowanie dinozaurów tłumaczy się między innymi tym, że w suchym, pustynnym klimacie, który miał zapanować w pewnym momencie w triasie, nie miały już szans wodolubne płazy, natomiast zapanowały sprzyjające warunki dla gruboskórnych gadów.

Teoria „roślinna” została zmodyfikowana trochę śmiesznie. Dowodzą, że tak ogromne cielska musiały mieć kłopoty trawienne i że bez środków przeczyszczających ani rusz. A te środki przeczyszczające miały być czerpane z jakichś niezidentyfikowanych roślin, które właśnie teraz wyginęły. W ślad za nimi skończyły się i jaszczury powalone iście kamiennym zatwardzeniem. To by była teoria „toaletowa”.

Są wreszcie teorie całkowicie fantastyczne. Dinozaury miałyby wyginać, gdy po wynalezieniu maszyny czasu myśliwi przyszłych epok ruszyli gremialnie na polowanie w czas przeszły. Ale dlaczego tylko w kredę, a nie we wcześniejszą, bodaj jeszcze bujniejszą jurę? Jeszcze inna wersja to, że turyści czasu zawlekli tam jakieś paskudne wirusy. Pięknie, lecz na razie owych turystów czasu ani słyhu, ani widu. Jest więcej koncepcji tej miary.

Nieco poważniejsza jest teoria kosmiczna. Gdzieś w pobliżu Ziemi miałyby w myśl tej koncepcji wybuchnąć gwiazda supernowa zatruwając śmiertelnie promieniowaniem rozległą przestrzeń, między innymi okolice Słońca. I tu pojawiają się pytania: dlaczego w takim razie ocalały ptaki i ssaki, a zginęły stworzenia skryte pod taflą oceanu, jak ichtiozaury i amonity? Ale przede wszystkim astronomowie nie doszukali się w prawdopodobnym pobliżu Ziemi żadnych szczątków takiego wybuchu sprzed siedemdziesięciu mniej więcej milionów lat. Cała więc sprawa upada z powodów, zwanych napoleońskimi.

W tej chwili dominują dwie teorie. Najostrożniejsza ma charakter klimatyczny, a jej nowa postać jest dziełem uczonych Leigh Van Valena i Roberta Sloana. Zagłada rozkładałaby się tu na długie lata i rozpoczęłaby się pięć do dziesięciu milionów lat przed końcem kredowego okresu. Miał wtedy panować klimat tropikalny, szczególnie sprzyjający wielkim gadom. Ale właśnie wtedy nadeszło też i ochłodzenie, powodujące zmianę szaty roślinnej, głód i choroby. Podniesienie się kontynentów i wcięcie w głąb rzek spowodowało dodatkowo osuszenie całych połaci ziemi, a z pewnością i z wielu powodów gady, jak zresztą chyba wszystkie zwierzęta przedtem i potem, trzymały się brzegów wody. Wszystko to spowodowało z jednej strony zaostrzenie warunków życia dla zwierząt zmiennocieplnych (czy jak to podobno prawidłowiej: zewnętrznoocieplnych, ektotermicznych), a odwrotnie, faworyzowało stałocieplne, jak ssaki czy ptaki. Powodem tej zmiany miałby być znowu dryf kontynentów. Już raz coś takiego się wydarzyło, tylko niejako w odwrotną stronę. Otóż pamiętamy, że w epoce permskiej wszystkie kontynenty zbiegły się razem tworząc Pangeę. W ten zaś sposób ograniczyła się bardzo liczba zbiorników wodnych, a szczególnie szelfu przybrzeżnego, najważniejszej strefy morskiego życia. Równocześnie uczeni stwierdzili, że w tym właśnie okresie liczba gatunków w morzu spadła aż o siedemdziesiąt procent. Związek obu tych faktów był oczywisty – zmieniający się klimat wygubił całą plejadę zwierząt. Teraz mechanizm był trochę inny. Ląd rozpadał się, najpierw na dwa, potem na więcej kontynentów, które odpływały każdy w inną stronę. W ten sposób zostały zablokowane stabilne dotąd prądy oceaniczne, został wstrzymany czy też odmieniony przepływ ciepła. A to właśnie z kolei wpłynęło na klimat na samych lądach.

Najpoważniejsza jednak jest sformułowana ostatecznie w ostatnich latach meteorytowa teoria wymierania gatunków. Jest to właściwie teoria cykliczna. Mianowicie Ziemia zderza się co jakiś czas dwadzieścia sześć milionów lat z meteorytem czy raczej niewielkim asteroidem, a to straszliwe zderzenie wywołuje wielorakie zmiany i prawdziwą hekatombę żywych istot. Otóż właśnie coś takiego miało się zdarzyć na granicy kredy i trzeciorzędu (zwanej wśród geologów „granica K-T”). Dwaj kalifornijscy uczeni z uniwersytetu w Berkeley, ojciec i syn, Luis i Walter Alvarezowie stwierdzili, że w dwóch warstwach wapienia z Gubio, kredowej i trzeciorzędowej, znajduje się całkiem różna ilość śladów życia, w tej trzeciorzędowej wielo-

krotnie niższa. Między nimi zaś zalegała cieniutka warstewka gliny, tzw. „rybiej gliny”. W niej znaleziono coś osobliwego: ilość irydu, pierwiastka pozaziemskiego wzrosła tam sto sześćdziesiąt razy. Świadczyło to o upadku na Ziemię jakiegoś gigantycznego meteorytu 64 (inni podają 65) milionów lat temu. Tę „granice K-T” wyznaczoną warstewką gliny między wapieniem kredowym a wapieniem trzeciorzędowym znaleziono i w innych miejscach, choć jest ona wyjątkowo trudna do odkrycia. Do irydu dołączyły inne rzadkie pierwiastki, do do-  
wodu inne dowody.

Ziemia zderzyła się więc z asteroidem o średnicy dziesięciu kilometrów, który być może wpadł do oceanu. Jeśli tak, to stu metrowe fale runęły na brzeg, inni mówią nawet o sześćo-kilometrowej wysokości. Huragan ognia spopielił lasy, w powietrze wzbily się chmury pyłu i na Ziemi na miesiące czy nawet lata zapanowała noc. To ona właśnie doprowadziła do wygu-bienia roślinności na lądzie i fitoplanktonu w morzu. Zginęły zaś przede wszystkim zwierzęta wielkie, mniejsze przetrwały wśród zwalisk, w jakichś norkach, żywiąc się szczątkami zwłok, korzonkami, liśćmi, nasionami. Potem stopniowo ubogie życie zaczęło się znowu rozprze-strzeniać po opustoszałej Ziemi. W morzach nie było już rybojaszczurów, belemnitów i amo-nitów, w powietrzu nie majaczył już piętnastometrowej rozpiętości cień pteranodonta, na lą-dzie nie było dinozaurów, lub też były ich szczątki tak nieliczne, że przedłużenie gatunku stało się niemożliwe. Być może naszym mysim przodkom wszystko nałożyło się na siebie, bo przecież kiedy brontozaur nadepnął na norkę, to była taka sama śmierć i kosmiczna katastro-fa. Być może pomyślały lub jakoś inaczej to odczuły, że na ziemię runęła jeszcze większa stopa jeszcze większego dinozaura, który przy okazji rozszarpał wszystkie pozostałe, jak to zwykli czynić jego dwunożni, zębaci pobratymcy. Na miliony lat zapadła cisza. Duch Świata szeptał wiatrem w nowych drzewach, w dębach i magnoliach.

Dinozaury nie znalazły już łaski przed Panem i Bóg zgarnął swoje wielkie zwierzęta, a ko-ści ich pochował na dnie przepaści. I powołał Adama z małej szarej myszki, Adam zaś przez wieki bał się rosnać i nie chciał zostać człowiekiem. I na zawsze został w nim strach ko-smicznego smoka, dinozaura.

W „Cudownej planecie” znajdziemy zdjęcia ściany wapiennej w Steven Klint, w Danii, przzerwanej poziomo rzadką warstwą ciemnych plamek, grochów, „rybiej gliny”. Pod nią zo-stał pogrzebany świat dinozaurów, nad nią zaczął się świat istot prowadzących ku nam, ku ludziom. Trudno o coś bardziej patetycznego od tej niewyraźnej kreski. Może to tu umierał ostatni wynędzniały i ranny dinozaur, a nad nim zakwitała pierwsza na świecie magnolia. I patrzyli na siebie.



## Od Spielberga do *New Age*

Film Stevana Spielberga, może najciekawszy jako zjawisko socjologiczne, odkrył parę interesujących rzeczy. Na mniejszą, polską skalę, lecz także w wymiarze uniwersalnym. A więc wykazał nam przede wszystkim przerażającą ignorancję społeczeństwa, jeśli idzie o historię życia. To prawda, że dinozaury nie stanowiły w Polsce aż tak znaczącej części kultury narodowej jak w Stanach Zjednoczonych, lecz przecież Ameryka Północna stanowi w Polsce podobno przedmiot niezmiernie żywego zainteresowania. Lecz to zainteresowanie ogranicza się, jak się obawiam, do wielorakich funkcji pieniędzy i metod ich zdobywania. Sama Polonia, uczestnicząc w zarabianiu, jest równocześnie ogromnie daleka od kultury amerykańskiej czy może i wszelkiej innej; taki przynajmniej wniosek płynie z przeróżnych relacji na ten temat. Poza tym i Amerykanie nie składają się z paleontologów, zainteresowanie tą nauką ma charakter zabawowy, choć w podświadomości tkwią jeszcze inne rzeczy, jak o tym pisałem w pierwszym rozdziale. Jednak są wcale liczne wydawnictwa na ten temat i ktoś je przecież kupuje.

Tymczasem sama nauka polska wcale nie jest od macochy. Można się dowiedzieć, ale, o ironio! właśnie od Anglików i Amerykanów, że Polska jest jednym z najpoważniejszych na świecie ośrodków naukowych badań paleontologicznych. Lecz społeczna wiedza na ten temat jest tak żalosna, że nawet czytająca publiczność nie do końca jest w stanie zrozumieć, na czym polegają współczesne problemy tej dyscypliny. Jej znakomity polski rozwój polegał zapewne i na tym, że jest to dziedzina doskonale apolityczna, nikt się więc do niej nie wtrącał i nie wtrąca. Ignoruje ją także Kościół, co można różnie oceniać, na dobre, ale i na złe, zważywszy, że znaczne grono bardzo wybitnych paleontologów to księża i zakonnicy. Nie w Polsce, niestety.

Dziennikarzom przy okazji „Parku jurajskiego” zdarzyło się wypisywać niewiarygodne duby smalone, takiej miary, jakby się komu zdarzyło pomieszać świnie z tygrysem. Ale właściwie nie ma skąd zaczerpnąć tych informacji. Publikacje na temat historii życia są rzadkie, chociaż były bardzo ciekawe książki Dzika, Szarskiego, Trepki, Ryszkiewicza i innych, o różnym stopniu trudności. Było też trochę istotnych tłumaczeń. Ale wręcz nie znajdzie się w książkach polskich nawet zwyczajnej systematyki dinozaurów, jaką tu cytowałem za Swintonem z późniejszymi dopełnieniami. Są, owszem, jakieś dziecięce wycinanki. Ale angielskich książek na ten temat także nie sposób dostać! Pan Marcin Artur Pawłowski, który zdobywał dla mnie książki w specjalistycznych bibliotekach Warszawy i Krakowa, musiał dokonywać istnych cudów. Co więcej, jak wynika z dedykacji, są to egzemplarze autorskie, które z kolei obdarowani polscy uczeni przekazali bibliotekom. Film Spielberga uświadomił jednak wszystkim, że taka dziedzina istnieje. Co prawda prasa zajmowała się głównie stroną techniczną filmu, ale przy okazji powiedziano i parę innych rzeczy. Natomiast odnosiłem wrażenie, że żaden chyba z recenzentów nie potrudził się przeczytać samej powieści Michaela Crichtona, na której film został oparty. I – to już w skali światowej – nie książka wcale zbudziła te dinozauryczne zainteresowania, trzeba było do tego ekranu. Ale to ma ogólniejsze, powszechnie znane powody.

Same techniczne nowości nie wystarczyłyby jednak, by z dinozaurów zrobić problem ogólnoswiatowy. Musiało się zdarzyć coś nierównie poważniejszego: film potrafił o struny tkwiące głęboko w podświadomości zbiorowej, w lęki wywodzące się z nieświadomości własnego pochodzenia, historii gatunku i ewentualnie pisanego nam losu. Krótko mówiąc, nie tyle sam „Park jurajski”, co jurajski temat odnoszą się do eschatologii, choć w mitologicz-

nym, bardziej uczuciowym niż intelektualnym wydaniu. Archetypem tych lęków, snów, ale i nadziei jest smok, symbol przerastających przeciętną normę naszego świata i cywilizacji sił i mocy. Nie tylko natury, ale wszystkiego, co potrafimy sobie wyobrazić. W każdym razie świata nieludzkiego, nie tylko ludzkiego. Pisałem o tym w pierwszym rozdziale. Po przypomnieniu podstawowych danych nauki o dinozaurach, ich pochodzeniu i narodzinach, i śmierci, postaramy się pójść dalej. Dinozaury nie są całkiem nieznane literaturze. Jeśli pominąć różne dokonania sensacyjnej literatury przybrukowej, to obszerniejszą prezentację konfliktu człowieka i dinozaura zawdzięczamy Conan Doyle'owi, autorowi powieści „Zaginiony świat”. Za sprawą nieco szalonego profesora Challengera rusza ekspedycja do Ameryki Południowej, na wyniesione nad dżunglę i izolowane płaskowyże skalne Sarisarinama, na których, jak się okazało, zachowała się fauna mezozoiczna. Cóż, główną atrakcją dinozaurów Conan Doyle'a jest samo ich istnienie. Poza tym ryczą, tupią, łamią drzewa etc. Nawiasem mówiąc ekscentryczny profesor Challenger jest odpowiednikiem Sherlocka Holmesa zajmującym się naturą. W innej opowieści profesor wierci szyb w głąb ziemi i dociera do jej żyjącej tkanki, stwierdzając, że Ziemia jest żywą i czującą istotą, a my żyjemy na jej skamieniałej skórze. Ale – nawias w nawiasie – po latach to właśnie polscy speleologowie byli jednymi z pierwszych, którzy dotarli na wyżyny i do grot Sarisarinamy. Dinozaurów nie znaleźli. W głąb czasu prowadził czytelników Jules Verne i polski Erazm Majewski, ale to były epizody. Dinozaury albo się ogląda, albo z nimi walczy czy raczej przed nimi chroni. Są potężne, brutalne i raczej głupie.

Jest wielka mnogość nowelek fantastyczno-naukowych przedstawiających wyprawy w przeszłość. Rzecz szczególna, że to właśnie nowelki – autorzy nie mieli wielkiego pomysłu, co z tą przeszłością fabularnie zrobić. Dwa są warianty podstawowe. Albo turysta przeszłości coś w niej narusza i zmienia, a wtedy i we współczesności zachodzą nieoczekiwane i paradoksalne odmiany, albo ginie w starciu źle oceniwszy siłę, szybkość i spryt przeciwnika. Archeolodzy odnajdują wtedy odciski kół uciekającego daremnie jeepa. To znów niefortunne myśliwego opadają pasożyty zabitego gada, same wielkie jak wilki.

Sam pomysł ożywienia archeozaurów był już wykorzystywany w fantastyce, co prawda chyba *minorum gentium*. Ożywione dinozaury miały służyć celom widokowo-oświatowym bądź też kulinarnym. Istotnie, taki brontozaur zapowiada wcale znaczną pieczeń. Czy jednak rzeczywiście byłby jadalny i smaczny? Wiedziały o tym tylko drapieżne therapody, ale ich gust nie musiał zbiegać się z naszym. Z ocalałych gadów bywają kulinarnie użytkowane te większe, żółwie i węże, te ostatnie to specjalność kuchni południowoazjatyckiej. Co do krokodyli, to czytałem gdzieś o pieczonym przez tubylców ogonie, ale nie mam pojęcia, jakie są jego zalety smakowe. Ponieważ nie jadamy drapieżników (nie bez wyjątków: vide szczupak i niedźwiedź), w grę nie wchodziłyby chyba dinozaury dwunożne. Ale, ale – przecież były one mocno ptakopodobne, a same ptaki też się od gadów wywodzą. Czy więc nie za śmiała byłaby teza, że mięso gadów archaicznych byłoby czymś pośrednim między żółwiem a drobiem? Czyli zapewne bardzo delikatne, choć z brakiem skrzydeł i zanikiem rąk wiązałoby się niedostateczne wykształcenie piersi, czyli białego mięsa. Choć i to do reszty pewne nie jest, u dzicyzyny są jadalne właśnie piersi, udka nazbyt żyłaste. Ale czy dinozaury można kulinarnie uznać za dziczyznę?

Jeśli tak, to o bezpośrednim jedzeniu pieczeni czy kotletów trudno byłoby myśleć, zanim mięso całkiem nie skruszeje. Ponieważ nie da się zapewne powiesić brontozaura jak głąszca, należałoby zamiast tego zastosować nacieranie octem czy jakąś inną formę bejcowania. Co do przypraw wypowiadać się niełatwo. Do zupy żółwiowej dodajemy ogólnie „korzenie”, ale także bulion wołowy, duszone pieczarki, maderę i zaprażkę rumianą; węże – nie wiem czego wymagają. Coś mi się obilo o uszy, że dusi się je z mleczkiem kokosowym i jujubą (tak wymawiać! reklamy nam wciskają bez sensu francuską „żozobę”), ale pewności nie mam.

Dziczyźnie północy przystoi jałowiec; nie słyszałem, aby używano go do pieczenia z antylopy czy do szczególnie podobno smacznej szynki z hipopotama. Potrawy najlepiej się udają z przyprawami kraju pochodzenia mięsa, tak krakowiance najlepiej w stroju krakowskim, a Arabce znad Eufratu, z miejsca dawnego rajy – w stroju Ewy. Więc może dinozaury z północnej Laurazji dojrzewałyby najlepiej właśnie w północnym jałowcu, zaś smoki południowej Gondwany w goździkach i cynamonie?

Właściwie jedyną swoistą przyprawą, o której wiemy na pewno, że istniała, są owoce i pestkowe orzechy miłorzębów; stanowiły część diety dinozaurów. To kojarzy mi się z kolei z kuchnią gruzińską. Owoce miłorzębu są kwaskowate, więc byłoby to coś w rodzaju sosu tke-mali, zaś orzechy każą pamiętać, że drób po gruzińsku znakomicie sprawdza się w orzechowym sosie saciwi. Ach, jeszcze coś: można by to jeść z młodymi pędami paproci à la szparagi, a paprocie istniały w mezozoiku na pewno.

Można jeszcze przyjąć, że części najsmaczniejsze ówczesnych gadów były, jako najbardziej pożądane, najlepiej chronione. Stąd być może najsmaczniejsze byłyby części podpancerzowe ankylozaura, schab ze stegozaura i głowizna z triceratopsa. Pewności nie mam, ale tak mi się jakoś przypomina.

Brillat-Savarin twierdził, że bardziej obdarował ludzkość ten, kto wynalazł nową potrawę, niż odkrywca nie znanej gwiazdy. W razie gdyby klonowanie dinozaurów doszło do skutku, proszę o mnie pamiętać.

Książka Michaela Crichtona, skądinąd i sama przez się warta lektury, sprawia wrażenie, że autor bardzo uważnie obejrzał sobie „Szczęki” właśnie Spielberga. W nich całą winę ponosi człowiek, odpowiedzialny urzędnik, który nie chce zrujnować finansów swojej miejscowości, a powiadomienie o rekinie to by właśnie oznaczać musiało. Miliarder–animator Crichtona jest właśnie taki: nawet gdy jego własne wnuki zaginęły na jurajskiej wyspie, w dalszym ciągu interesuje się tylko finansową wartością swoich dinozaurów. To aż trochę śmieszne, bo właśnie Spielberg zrezygnował w filmie z tego, własnego przecież motywu, miliardera ucłowieczył, kazał mu pamiętać o dzieciach, no i nie pokarał go w końcu okrutną, a przykłądną śmiercią. Tu właśnie nasi krytycy wykazali się kolejnym stopniem niewiedzy: nie przeczytali nawet Crichtona, a zaczęli debatę, czy Spielberg jest okrutny, czy też nie. Otóż rzecz w tym, że książka jest naprawdę okrutna. Rozszarpywany człowiek czuje, jak wydzierają mu trzewia i wręcz cieszy go rosnący ucisk zębów na czaszce, bo wie, że męka zaraz się skończy. U Spielberga nie zostało z tego nawet śladu.

Nie weszło też wiele innych epizodów, postaci i wywodów, co w pełni zrozumiałe, zważywszy, że książka ma ponad czterysta mocno pakownych stron. Zwierząt u Crichtona także więcej, ale papier jest tańszy niż tricki komputerowe. Dramatyczny powrót naukowca z dziećmi o wiele dłuższy i bardziej wypełniony przygodami. Żal mi szczególnie motywu żeglugi przepływającej przez rezerwat rzeką–kanałem; tu m.in. epizod z „ptaszarnią”, pawilonem pterozaurów, ale rozumiem, że redukcje były nieuniknione, chyba że film miałby parę części. Krytycy polscy zwrócili uwagę, że mimo zaangażowania znanych aktorów nie mają tu oni pola do popisu; prawdziwymi bohaterami są dinozaury. Jeśli tak, to spory paradoks: sceny z udziałem dinozaurów zajmują raptem sześć i pół minuty! Co prawda Solski w „Warszawiance” Wyspiańskiego był bodaj jeszcze krócej na scenie. Konflikt jednak nie rozgrywa się między ludźmi. Ludzcy bohaterowie wyobrażają stronę ludzką w konflikcie z dinozaurami, ich wzajemne kłótnie nie są znaczące, mimo – tyle z dawnego Spielberga i Crichtona jednak zostało – że to człowiek jest sabotażystą unieruchamiającym elektryczne zabezpieczenia.

W książce obszerniej, w filmie zwięźle rozwinięta została „teoria chaosu”, w myśl której rzecz nadto złożona musi się pokierować inaczej niż jej ludzki projektodawca się spodziewał. Gdyby się to jednak traktowało zupełnie serio, to i ten sabotażysta byłby właściwie niepotrzebny. W książce jest on tylko jednym z elementów porażki. W filmie właściwie też, ale epizod z dzieworódtwem został tu potraktowany marginesowo.

Jedna z rezygnacji Spielberga wszakże trochę mnie zastanawia. Otóż w książce dinozaury wydostają się jednak mimo ludzkich wysiłków na wolność i dalszy los ludzkości staje pod znakiem zapytania. Dlaczego zrezygnował z tego Spielberg? Podobnie nie włączył motywu, bardzo oględnego, przyjaźni między dzieckiem a małym velociraptorem, który Crichtonowi był zapewne potrzebny do pogłębienia końcowego znaku zapytania. Spielberg nie mógł nie rozumieć możliwości, jakie dawał ten nowy wymiar rzeczy. A więc po prostu nie chciał dalszego ciągu konfrontacji człowieka i dinozaura i jej wielorakich możliwości. Wyszło na to, że z naturą nie należy eksperymentować i basta. Skoro ona sama usunęła dinozaury z oblicza ziemi, to najwyraźniej miała swoje powody. Należy je uszanować, bo będzie nieszczęście. Obawiam się tylko, że taki punkt widzenia sprzeciwia się dosadnie samemu istnieniu cywilizacji ludzkiej, która narodziła się przecież z realizacji niemożliwego, z ustawicznie stosowanej metody prób i błędów; a błędów było w sumie chyba więcej niż sukcesów.

Ale naprawdę ciekawe wydaje mi się jeszcze coś innego, trzeba tu będzie jednak się otrzeć o psychoanalizę osobowości Spielberga. Rzecz o tyle ryzykowna, że nie znam go, wiem o nim za mało, a widziałem go ze dwa razy w dzienniku telewizyjnym.

Ale mam pewną sprawę, która jak się zdaje uszła uwagi wszystkich. Otóż Spielberg realizował w tym samym mniej więcej czasie dwa, jakże odmienne filmy. Jeden to „Jurassic park”, drugi – „Lista Schindlera”. Co je ze sobą łączy, to motyw uwięzienia. Ocaleni przez Schindlera ludzie zostali przecież uwięzieni i skazani na śmierć. Zwierzęta w „Parku jurajskim” też są uwięzione na wyspie, która w swojej osnowie nie jest niczym innym niż kolejną wersją obozu koncentracyjnego. Zwierzęta są uwięzione, by przynosiły dochody. Gdy przestaną to robić – zginą. Żydzi są od razu skazani na śmierć. Zwłoka w wykonaniu wyroku bierze się stąd, że przynoszą dochód. W obu wypadkach, oba obozy, jurajski i płaszowski, zostały otoczone drutem pod napięciem. W obu wypadkach zabezpieczenia zawodzą i zwierzęta wydostają się na wolność zaczynając ścigać swoich oprawców. Nie dziwi nas to wcale, jeśli idzie o ludzi, natomiast zwierzętom nie przyznajemy takiego prawa stając automatycznie po stronie ich stwórców, oprawców. Velociraptor nie może przecież mieć praw Wiesenthala! Jest tak, ponieważ jesteśmy ludźmi. Ale gdyby patrzył na to ktoś nie będący człowiekiem?

Być może sam Spielberg zatrząsłby się ze zgrozy na takie zestawienie, ale jego podświadomość tego nie uczyniła. Bo za nic i nigdy nie uwierzę, aby tyle zbieżności mogło powstać jedynie przypadkiem. Pisząc to wydawało mi się, że znam jakąś sytuację podobną, ale nie mogłem sobie przypomnieć, o co chodzi. Wreszcie przypomniałem sobie. W „Salambô” Flauberta, którą kończy męczeństwo głównego bohatera, Mathoo, widzi on jakiś czas przedtem ukrzyżowane przez Kartagińczyków lwy. I szepcze (on, czy może któryś inny zabity później żołnierz najemny): „Te lwy – to my”. Ale czy Spielberg czytał Flauberta?

Kiedy w książce Crichtona bohaterowie opuszczają helikopterem wyspę jurajską, czyli Isla Nublar, żołnierze przystępują do jej całkowitego zniszczenia i wypalenia. Oto tekst Crichtona: „Śmigłowiec zwiększył szybkość, kierując się w stronę stałego lądu. Robiło się coraz zimniej, więc żołnierze zamknęli drzwi. W ostatniej chwili Grant jeszcze raz wyjrzał na zewnątrz i zobaczył wyspę na tle purpurowego nieba, otuloną mleczną mgłą, w której jeden po drugim zaczęły rozkwitać oślepiająco białe kwiaty wybuchów, aż wreszcie cała Isla Nublar wyglądała jak biała, rozjarzona wewnętrznym blaskiem perła na tle czarno-purpurowego jedwabiu” (s. 423, tłumaczył Arkadiusz Nakoniecznik). Czy naprawdę trzeba przypominać, w jakim to mieście, jaka dzielnica została tak doszczętnie wypalona razem z resztką zbuntowanych ludzi? Ale z tego także Spielberg zrezygnował, i chyba tu naprawdę musiał, żeby nie być zanadto dosłowny. Ciekawe, jak to było naprawdę, bo przecież motywy obu filmów wywodzą się wyraźnie z jednego gniazda. Oczywiście, mogą być na to bardziej uczulony niż Spielberg, bo w końcu mieszkam w Warszawie, a nawet tuż obok miejsca, gdzie wśród lasów to piszę, mieszkali przed wojną Żydzi, była to podobno piękna dzielnica, wille w kwitnących ogrodach, może nie tak jak Isla Nublar, ale coś w tym rodzaju. A w czasie okupacji było tu

małe, pomocnicze getto, skąd pędzono ludzi na stację w Falenicy, gdzie już na boczniczy czekał pociąg do Treblinki. Więc może to tylko moje, polskie uczulenie, którego wcale nie musi podzielać Amerykanin Spielberg?

Może jest jeszcze inaczej. Spielberg musiał te zbieżności widzieć, ale chciał ich uniknąć, dlatego, gdzie się dało, zacierał ślady zostawiając dinozaurom samo okrucieństwo i nie pozwalając nam przyjąć ani na chwilę ich punktu widzenia. Jeśli tak, to zrobił źle: dobra komercja nie musi być koniecznie bezrefleksyjna. Stanąwszy przed wyborem: albo smok, albo człowiek, nie chciał przyjąć, że zakresy tych pojęć mogą się niekiedy pokrywać. Ale właśnie nieco mu się pokryły w „Liście Schindlera”. A w literaturze zdarzało się, że zbliżały się do siebie jeszcze bardziej.

Co by się stało, gdyby dinozaury przekroczyły granicę „K-T”, rozwinęły się bardziej i stworzyły własną cywilizację? Nauka sensownie nie może się tym zajmować, lecz wolno to zrobić literaturze. Gdyby to zrobiła zamiast człowieka, nie byłoby sprawy, ale pewnie także i literatury: dinozaury stanowiłyby wtedy po prostu alegorię ludzkiego społeczeństwa. Trzeba więc było ukazać równocześnie dwie społeczności, ludzką i jaszczurzą. Zrobił to amerykański pisarz Harry Harrison w trylogii „Eden” („Na zachód od Edenu”, „Zima w Edenie”, „Powrót do Edenu”).

Rozwijają się tu na skutek odmiennego niż w rzeczywistości rozszczepienia się kontynentów stara cywilizacja jaszczurów i młode cywilizacje różnych gatunków ludzkich. W końcu dochodzi do zetknięcia i konfliktu, ale nie sposób zreferować tu bardzo długiej, ciekawej i zawiłej fabuły. Te jaszczury, „murgu” to może niekoniecznie dinozaury, a z ich gadziością jest rozmaicie, skoro potomstwo musi dorastać w wodzie. Ale stworzona przez nie cywilizacja jest bardzo interesująca. Nie posługują się narzędziami zrobionymi mechanicznie: wszystko zostaje wykształcone ze zmutowanych przeróżnych organizmów. Tak powstał zegar i mikroskop, i kompas, łódź i transatlantyk, a nawet same miasta murgu, o wielu wyspecjalizowanych instytucjach i dzielnicach, są hodowane z nasienia. Ta cywilizacja obywateli nie tylko bez narzędzi i ognia, ale bez religii i historii, ma za to świetnie rozwiniętą naukę, szczególnie, oczywiście biochemię i genetykę, ale także np. oceanografię, miasta bowiem leżą z reguły nad brzegiem oceanu. Ich cywilizacja jest bardzo zhierarchizowana i konserwatywna.

Ludzka jest zupełnie odmienna. Bardzo uboga, ale na swój sposób religijna, dysponująca narzędziami, a nade wszystko ogniem i zdolnością do przemian. Zrozumieć się nawzajem i tolerować nie mogą. Ale jednak i tutaj zdarza się odstępstwo: ludzki niewolnik odzyskawszy wolność walczy z murgu, lecz na swój sposób lubi je i rozumie. Nie będzie to wprawdzie czynnikiem pokoju i współpracy, bo nikt go nie naśladowe, lecz mała wysepka ciepła może, bodaj przez krótki czas, istnieć. Z Crichtonem i Spielbergiem nie ma to żadnego związku, gdyż Harrison to *fantasy*, a oni to *science fiction*. A między nimi przecież przepaści niezgłębione, jak między Związkiem Literatów Polskich a Stowarzyszeniem Pisarzy także Polskich. Gdy Międzyzrzecki lub Braun idą z prezesem ZLP na wódkę, to przebierają się w czarne szaty, a twarz zakrywają czarczafem: każdy rozumie, że przyjechała delegacja z Kurdystanu. Zapisana od pradziejów wrogość między człowiekiem a smokiem także przechodzi dziwne transformacje w literaturze współczesnej. Wszędzie naturalnie smok należy do szczepu o wiele starszego od człowieka i wszędzie człowiek ze smokiem wojuje. Ale już zdarzają się odstępstwa. W „Rezerwacie Goblinów” Simaca smok, istota przepiękna, o tęczy kolorach, był kiedyś zwierzęciem domowym i przyjacielem dawnych istot rozumnych, one zaś ginąc postarały się, aby przetrwał. W przesławnych „Muminkach” Tove Jansson smok jest maleńki, łapie muchy, siedzi na firance i wybiera tych, których lubi. Ale to nie jest świat ludzi: Muminek nie jest małym chłopcem, lecz trollem. W dyptyku Gordona R. Dicksona („Smok i Jerzy”, „Smoczy rycerz”) bohater sam staje się smokiem. Oczywiście, ciągle jeszcze występuje smok jako strażnik skarbu (Tolkien) lub łupieżca trzody (Tad Williams, Lawrence Watt-Ewans), ale są to już tylko mechaniczne powtórki motywu lub puszczenie perskiego oka do czytelnika.

Bardzo poważna jest natomiast Ursula le Guin w swoim czwórksięgu o Ziemiomorzu. Okazuje się tu ostatecznie, że człowiek może przyjaźnić się ze smokiem i liczyć na jego pomoc, z wzajemnością. Ale i znacznie, znacznie więcej: że człowiek i smok są braćmi, są w istocie rzeczy tym samym, ale wychodząc ze wspólnego źródła skierowali się gdzie indziej i zrealizowali inaczej. Ich wzajemny konflikt nie niweczy ich najgłębszej identyczności, a to zróżnicowanie stało się jedną z sił stwórczych całego świata. Co nie tak już trudno do stosownej tradycji filozoficznej czy teologicznej dopasować.

Mamy w całej tej sprawie wiele tropów, wiele wykładni, wiele płaszczyzn rozumowania. Razem z dinozaurami pochodzimy ze wspólnego szczepu kotylozaurów; jak się okazuje, możemy także ze smokami pochodzić z jednego rodu Segoya, który wydzwignął ponad wodę wyspy Ziemiomorza. Jeśli jesteśmy agnostykami, to trudno nam zapewniać, że jakaś, którakolwiek wykładnia ezoteryczna jest jedyna i prawdziwa. Być może, żadna. Ale nie jest przecież automatycznie wykluczona i inna ewentualność. Co jest rozumne, to jest rzeczywiste... tak lub nieco podobnie pisał pewien niebezpieczny filozof. Ale jeśli co innego jest rozumne, a co innego rzeczywiste?

Więc gdyby założyć, że dinozaury stworzyły jakąś strefę nie dającą się mierzyć znanymi nam sposobami... Harrison wskazuje, że jest do pomyślenia cywilizacja, po której nie może zostać nic, gdyż cała składa się tylko z elementów organicznych. Nikt się nie spiera, że dinozaury były bardzo rozumne; Marcin Ryszkiewicz cytuje przy okazji rozważań o inteligencji dinozaurów przepiękną myśl Mohameda Ali: „Zawsze twierdziłem, że jestem największy, ale nigdy, że najmądrzejszy”. Nawet nasz ludzki organizm ma, jak się okazało po Sedlaku, po Kirlianie aspekty zgoła niespodziewane: na przykład sławna aura. Co mogły mieć dinozaury? Bardzo są ciekawe opinie dotyczące smoków: z jednej strony smoki mają być niezbyt lotne, wręcz głupekowate, z drugiej obdarzone chytrą i prastarą wiedzą. Trochę jak diabeł, którego prosty chłop okpić potrafi. No więc, skoro jesteśmy na tak wysokich piętrach nierzeczywistości, załóżmy, że mocą naturalną, czarnoksięską, diabelską czy anielską duch, który ożywił dinozaury, pozbierał z nich wszystkich, jakie były elementy materialnego i duchowego istnienia i objawił się jako potężny smok, jako dusza gatunku wylatująca ponad swój historyczny czas i to on właśnie, na jawie czy we śnie nawiedzał ludzkie pokolenia.

Ale jakąż jego genealogia? Pismo powiada nam, że pierwszy i najpotężniejszy archanioł wzbiał się w pychę i został przez Michała Archanioła strącony. A powiada się o nim także, że był to potwór, smok wiekuisty. No więc jak, archanioł czy smok? Należy mniemać, że i jedno, i drugie, jest tu coś jeszcze: smok występuje z reguły jako strażnik skarbów; w najstarszej może mezopotamskiej wersji Humbaba strzeże ogrodu, lasu cedrowego. Więc może to właśnie on strzegł ogrodu Edenu? Ale Pismo powiada tutaj, że Bóg na straży raj, skąd wypędzono ludzi, postawił „Cheruby, i miecz płomienisty, i obrotny ku strzeżeniu drogi do drzewa żywota”. (Tak, nawiasem mówiąc, wyjaśnia się sękata kwestia, skąd u smoka ogień. Już przedtem wprawdzie mieli prarodzice do czynienia z wężem. Wąż jest wprawdzie gadem, ale czy smokiem? Wiemy, że niektóre odmiany smoków miały ogon wężowy, to jednak sprawy dla innych, bardziej jeszcze ode mnie natchnionych egzegetów. I tak już raz przez pomyłkę zamiast „smok” napisałem „amok”; pomyłka znamienita). A więc mamy wężeł, prawdziwie z miasta Gordion: identyczność anioła i smoka, i dinozaura. A że to być może stało się w podświadomości, a nie w rzeczywistości materialnej? Dla mitologicznego umysłu co to za różnica? A rola strażnika przypadła dinozaurom w istocie: dopóki czuwały, dopóki w ogóle były, nie mógł dostąpić ssak drzewa rozumu, nie mógł obrodzić człowiekiem.

Można to wszakże wyłożyć na jeszcze inne sposoby. Oto na przykład *New Age*, w każdym razie znacząca liczba uczestników tego ruchu wierzy w reinkarnację, nie ma jednak na to żadnego dowodu, bo, o ile wiem, wszystko, co na dowód przytaczano, okazało się urojeniem bądź mistyfikacją. Nie mogę przy tym pojąć żadnej przydatności reinkarnacji, skoro odbiera się nam pamięć dawnych czynów. Ale rzecz ma się inaczej, jeśli przypomnimy sobie, jak to

miało wyglądać wedle huny w ujęciu Maxa Freedom Longa. Otóż wedle tego człowiek ma trzy dusze (czy warstwy duszy, jaźni jak kto woli): zwierzęcą, ludzką i ducha żywiołu. Tak po szczeblach postępuje w górę (choć są tu dalej, niestety, niemałe niekonsekwencje, ale ich nie unikniemy) i choć nigdy przedtem nie był człowiekiem, to być może był jednak zwierzęciem. A więc skąd się teraz biorą dusze i ile ich jest? Powiedzmy, że tyle, ile dinozaurów, bo to one w nas się szamoczą, rodząc niepokój i fascynację zarazem. Wtedy nie musimy już nigdzie na zewnątrz spotykać ni dinozaura, ni smoka, bo jest on w nas nieustannie obecny.

Tyle, że nie wszyscy podzielają i to mniemanie. Wedle teorii szeroko dziś rozpowszechnionej jest w nas pierwiastek i udział boski, gdzieś niezmiernie głęboko. Teoria ta byłaby chyba nawet, w odpowiednim sformułowaniu, do przyjęcia przez myśl judeochrześcijańską. (Skoro Bóg „widzi” nasze umysły, to jakoś musi istnieć w naszym mózgu). Już pewnie nie w tej wersji, że każda istota w jakimś swoim ułamku i jakiejś głębinie po prostu jest Bogiem. Wariantów tego ostatniego zdania i mniemania jest zresztą tyle, ile kropel w Mississipi. Myślę, że jest i wariant taki, który nie wyklucza istnienia Boga osobowego, co jest dla nas bardzo ważne, bo istotą tradycji europejskiej był zawsze personalizm. Niekoniecznie musimy być monadami i wzywać Malebranche’a na pomoc. Można sobie wyobrazić, że i jesteśmy sobą, i mamy udział w czym innym. Na przykład – w dinozaurach i ich historii.

Tu kolejny nawias: wierzę (jeśli w ogóle wierzę), że zwierzęta też mają dusze. Ponieważ progiem dalszego istnienia (nieśmiertelności?) nie jest rozum, ale cierpienie. A więc cierpienie śmierci jest rodzajem biletu na dalszą drogę. Otrzymuje ten bilet wszystko, co istnieje, z Bogiem włącznie (umarł przecież na krzyżu), może poza organizmami, które nie umarły, bo się mnożą przez podział. Ale tu już blisko jesteśmy końca szpilki i legionów duchów, które się na nim mieszczą. Nie odbierałbym więc i gadom tej możliwości.

Ale czymże jest w sumie to nowe życie, nowa era – *new age* dinozaurów? Ma to chyba kilka znaczeń. A więc inne istoty żyjące – my właśnie – wydobyliśmy je z niepamięci, z głębin Ziemi, ze skały, tak że mogły się znowu stać obiektem czyjejś świadomości, choć już nie swojej własnej. Kształtowaliśmy je od nieudolnych rekonstrukcji, pomyłonych kształtów, błędnych wyobrażeń do form bogatszych i zapewne prawdziwszych. Ale przez całe stulecie ubiegłe i niemалą część bieżącego dwudziestego wieku były dla nas rodzajem osobliwości lub szczególniejszej pomyłki Pana Boga. Dopiero wielkie zmiany duchowości świata zachodniego w drugiej połowie i pod koniec stulecia zmieniły sytuację skłaniając nas do innego widzenia całego świata, a więc i dinozaurów. Rzeczywiście, jakaś Nowa Era nadchodzi. Więcej o niej słyzy się głupstw niż prawdopodobieństw, ale sama odmiana jest rzeczywista. Zwolennicy astrologii przypominają, że w Wielkim Kosmicznym Roku era Ryb ustępuje Wodnikowi. Czy wraz z gwiazdami odmieniają się i ludzie?

W każdym razie mechanistyczno-materialistyczna wizja świata wydaje się nam równie niekompletna, co niepożądana. Ale to nie jest już średniowieczny wybór jednej z alternatyw dualizmu duch–materia na niekorzyść tej drugiej. To nie jest odtrącenie materii, ale jej reinterpretacja. Szukamy więc jednolitej teorii duchowo-fizycznej dla światów widzialnych i wyobraźalnych. Wstępem do tego jest postrzeganie materii w kategoriach energii, a konkretnych konceptów jest sporo – fala, wir, będzie tego z pewnością więcej. Świat materialny i światy duchowe stają się jedną, gigantyczną konstrukcją, raczej stopniami jednej rzeczywistości niż bytami przeciwstawnymi. Przestrzeń i czas, jakie znamy, wydają się nam tylko prawami lokalnymi, a nie uniwersalnymi, jedność całego istnienia, rzeczywista czy tylko upragniona, sprawiła, że poczuliśmy się bliżej rośliny, zwierzęcia, a z drugiej strony Boga.

W to powszechne braterstwo wchodzi i dinozaury jako nie znana dotąd, ale bliska i pokrewna forma istnienia. Nasze dalsze losy będą już wspólne.

W tym odmienionym świecie zatraciliśmy na razie umiejętność wyboru i wartościowania. Co dotąd było uważane za głupstwo wierutne, głupstwem być przestało, co jednak nie ozna-

cza, że wszystkie bzdury nagle się uwierzytelniły. Nie, bzdur jest dalej pełno, ale my nie wiemy, które to konkretnie. Czy za prawdziwe i skuteczne mamy uważać magię, amulety, reinkarnację? Amulet na przykład nie jest już tylko kawałkiem materii, ale „czymś” energetycznym, mogącym współwibrować Bóg wie z czym. Mogącym – ale czy rezonującym naprawdę, czy tylko w gromkich zapewnieniach hochsztaplerów? Meridiany akupunktury chyba istnieją naprawdę, skoro tego rodzaju kuracje są rzeczywiste i skuteczne. Ale spośród tysięcy i jednej kolejnych konsekwencji *New Age'u*, czyli nowej duchowości, na pewno nie wszystkie są realne. Nie rezygnujemy więc za łatwo z wypracowanej przez tysiąclecia logiki, mimo że niekiedy może ona zawodzić.

W Polsce zamiast *New Age* chętniej używa się określenia era Wodnika, co przesądza o astrologicznym ujęciu zagadnienia, czyli ponownie o tym, czego wcale nie jesteśmy pewni. Dlatego wolę unikać tego określenia, choć nie zawsze jest to możliwe, szczególnie jeśli idzie o prognozowanie przyszłości.

Obrodziły nam bowiem rozważania, jaka to też będzie nadciągająca epoka Wodnika. Cóż, przewidywanie przyszłości to zabawa fascynująca, choć okropnie mało wiarygodna. Przez wieki i tysiąclecia wieszczono to apokaliptyczne katastrofy, to znów „tysiącletnie królestwo”, „kościół janowy” i tak dalej. W świecie technologicznie raczej stabilnym miały to być przemiany historyczno-metafizyczne, ludzie mieli się zmieniać w bestie, to znów w grono aniołów, jak to w każdej utopii. Nigdy nic z tego się nie sprawdziło.

Wiek dziewiętnasty z lubością ekstrapolował ówczesne nowości techniczne na przyszłość, na wiek dwudziesty. Kolej miała podjeżdżać nieomalże do każdego domu, niebo miało być zatłoczone balonami, a ulice Paryża miały się stać nieprzejezdne z powodu natłoku dorożek i przyzm końskiego łajna. Filozofowie zaś wieścili nadejście ustroju sprawiedliwości społecznej, co rzeczywiście sprawdziliśmy na własnej skórze. Dzisiaj dzieje się podobnie.

Referuje się teraz pomysły Mac Luhana z jego „*ad hoc* cracją”, z której wynika, że człowiek przyszłości będzie bujał w społecznym powietrzu, będzie, owszem, twórczy i wręcz genialny, nie usiedzi na miejscu, nie zwiąże się z nikim i niczym na stałe, nie będzie jadł (lub tylko jarzyny), nie będzie pił, nie będzie wojował (ale mało konsekwentnie: dopiero po trzeciej wojnie światowej), nie będzie się kochał i nie będzie wychowywał dzieci. A wszystko to pod wpływem Wodnika.

Mam bardzo poważne wątpliwości. Co naprawdę zmieniały kolejne ery? Nie zmieniały przyrody, bo dwa tysiące lat dla geologii, ewolucji, to tyle co nic. Nie zmieniały też gatunkowych predyspozycji człowieka, a sposoby organizacji społecznej zmieniały się o wiele częściej. Jeśli istotnie coś zmieniały naprawdę, to chyba symbolikę i typ wyobrażeń religijnych. To, oczywiście, także bardzo wiele. Na wojny religijne nie było raczej miejsca w świecie tolerancyjnych politeizmów – chociaż wtedy też walczono o dominację jednego boga nad drugim. „Wtedy” – to znaczy w erze Barana czy Byka, choć o tej ostatniej prawie nic nie wiemy. Tak naprawdę możemy jedynie porównywać Ryby z Baranem. I mniej więcej pokrywa się powstanie chrześcijaństwa, ale już nie monoteizmu, rodzącego się przez tysiąc lat w erze wcześniejszej. Technologia, czyli przejście od epoki brązu do epoki żelaza, nie liczyła się z tym wcale, skoro żelazo przypisuje się Hetytom w połowie drugiego tysiąclecia *ante Christum natum*. Z kolei nowoczesna rewolucja naukowo-przemysłowa zaczęła się jakieś trzysta lat przed Wodnikiem i też ze zmianą er nie ma nic wspólnego. Tak więc z przewidywanych zmian musi odpaść niesłychanie istotny motyw technologicznej osnowy ludzkiego świata, który w ogóle w tej chwili wydaje się najważniejszy.

Teorii rozwoju rodzaju ludzkiego jest wiele. Do mnie szczególnie silnie przemawia teoria polskiego archeologa, Zdzisława Skroka, przypisująca rozwój presji demograficznej. I tak wygodne zbieractwo musiało się skończyć, kiedy dziko rosnące zboża nie mogły już wykarmić ludzkiej gromady. Zaczęło się wtedy mozolne uprawianie ziemi – mozolne, bo za każdym razem postęp jest wymuszony przez pogorszenie warunków życia. Wieżowce narodziły



się, kiedy w śródmieściach metropolii zabrakło miejsca na niższe budownictwo. Być może i emigracja na inne planety dokona się pod wpływem takiej konieczności. Ale nastąpi to – jeśli w ogóle do tego dojdzie – o wiele wcześniej niż kolejna odmiana ery.

Jak się zdaje, przemiana er nie miała wpływu na pewne trwałe cechy rodzaju ludzkiego. Przypomnijmy fundamentalną definicję Arystotelesa – *ho antropos estin to dzoon politikon*, czyli człowiek jest zwierzęciem społecznym. A więc zachowania społeczne są nieuniknione. Jakże nade wszystko? Walka o miejsce w społecznej hierarchii to cecha nawet nie specyficznie ludzka, ale wszelkich społeczności zwierzęcych – sławna wśród ptaków „kolejność dziobania”. Nie wiem tylko, jak to jest wśród owadów. Poza tym hierarchia jest obecna wszędzie tam, gdzie istnieje rodzina, stado, społeczność. W ludzkim świecie obszar owych walk otwiera formuła Huizingi *homo ludens* – człowiek bawiący się. Te zabawy są dość szczególne, bo polegają właśnie na wszelakim współzawodnictwie, stąd i sport, i intrygi w pracy, i, niestety, wojny. To tylko z bardzo daleka dawne społeczeństwa i narody wydają się nam jakby zniechęcające. W istocie trwała zawsze intensywna walka o „miejsce na górze”, o władzę po prostu. Czy to republikański, czy imperialny Rzym tego najlepszym dowodem. Ale czy inaczej było wśród miast Mezopotamii, wśród chińskich królestw, wśród plemiennych państwów indyjskich Ariów? Wszędzie było to samo, chociaż reguły walki społecznej mogły się zmieniać. Lecz także wcale nie ze zmianą er! Nie zmieniła się też i chyba nie zmieni wywodząca się jeszcze z małpiej wspólnoty ludzka cecha – ciekawość.

Czystą fantasmagorią jest twierdzenie, że człowiek nie będzie się interesował seksem i jedzeniem. Co do seksu, to wręcz lawina zainteresowania narasta na naszych oczach – była to bowiem dotąd w naszej cywilizacji dziedzina tabu. Wszystko wskazuje, że nauka będzie dążyła do wzmocnienia potencji i orgazmu, a tzw. pornografia stanie się jednym ze społecznie uznanych stymulatorów. (Jak to jest już dzisiaj, tyle że nieoficjalnie i wstydliwie). Ale jakiegokolwiek to pociągnie konsekwencje społeczne, nie sądzę, aby miała przez to zaniknąć miłość i życie rodzinne. Ludzie na ogół po prostu chcą mieć dzieci, a także je wychowywać. Czemu by się mieli pozbywać tej przyjemności na rzecz domów dziecka?

Z tą rezygnacją z jedzenia także niewyraźnie, choć byli już prorocy zapowiadający erę pigułki odżywczej – Saint-Exupery w „Małym księciu” pięknie im odpowiedział, kiedy mu zaproponowano specyfik oszczędzający 45 minut tygodniowo na picie: „Gdybym miał czterdzieści pięć minut czasu, poszedłbym pomaleńku w stronę studni”.

Zapowiedź, że człowiek przyszłości nie będzie się interesował jedzeniem, jest oczywistą pochodną tezy, że człowiek przyszłości w ogóle zlekceważy wszelkie przyjemności, będzie ascetą żyjącym intelektem. Trzeba więc wstępnie zauważyć, że najgłębsze nawet życie intelektualne i duchowe ma się nijak do tego, co niesie nam własna fizjologia i świat materialny. Jeśli ktoś jest manichejczykiem i widzi w materii jedynie zło, to można to zrozumieć. Ale nie wskazuje, aby taka właśnie tendencja wzięła górę w przyszłości. Odwrotnie, materia, której cudowne energetyczne i po prostu duchowe zasady zaczynamy poznawać, ma niezmiernie wysokie miejsce w hierarchii istnienia, wywodzi się z wnętrza gwiazd, z boskiego aktu, z najwyższego stwórczego kunsztu. Dlaczego mielibyśmy nią pogardzać?

To prawda, że kandydat na rycerza w przeddzień pasowania pości i czuwa, jak zresztą każdy człowiek pierwotny przed inicjacją. To prawda, że asceza nie jest czymś, co dałoby się wyśmiać, a wszelkie wyrzeczenie nie jest bez waloru duchowego. Ale przecież nie oznacza to, że musimy przez cały czas żyć w ascezie. To są całkiem naiwne wyobrażenia: człowiek współczesny jest tak zajęty, tak nie ma czasu, że na nic innego poza interesami nie zwraca uwagi. Rzekomo Ameryka współczesna, kiepsko przez nas znana, miała być takim krajem, gdzie jedzą pigułki. Okazało się, że jest najzupełniej inaczej. Nie widzę powodu, dlaczego to człowiek przyszłości nie miałby mieć czasu dla siebie, bo do tego sprowadza się takie przewidywanie.

Odwrotnie, tego czasu dla siebie, czasu wolnego może być aż za dużo. Wiąże się to z postępującą automatyzacją, z przejmowaniem coraz to nowych usług i dziedzin produkcji przez roboty i komputery. Będzie coraz więcej dość zamożnych bezrobotnych, a czas pracy pracujących także bardzo się skurczy. Rozwiną się więc zapewne w sposób niebywały różne hobby, pozazawodowe umiejętności i tak dalej. Już dzisiaj tak się dzieje, a kategoria przedmiotów, rzeczy wykonanych własnoręcznie bardzo zyskała na znaczeniu. W przyszłości „hand made” stanie się jeszcze ważniejsze. A cóż jest bardziej dostępną i zarazem natychmiast sprawdzalną dziedziną alchemii niż gotowanie? Ono już stało się niezmiernie modne wśród polityków, artystów i w ogóle elity. Za nimi już idą inni, a jest to wyraźnie trend rosnący.

Już dzisiaj na całym Zachodzie największym powodzeniem cieszą się książki kucharskie i, naturalnie, ogromna podaż wszelakich przypraw ze wszystkich zakamarków świata. Doświadczamy tego i w Polsce, choć na razie nie da się, niestety, w Warszawie kupić trassi czy jalapy. Bardzo znamienita jest kariera, jaką zrobiła kuchnia dalekowschodnia, przede wszystkim chińska. Jest ona niesłychanie bogata w przeróżne pomysły, liczba potraw jest wręcz nieskończona, a metody kulinarne niekiedy bardzo zawile. I oto właśnie ona podbija świat. Równocześnie wielkie firmy lansują hamburgera, to prawda. Hamburger jest potrawą pośpiechu, ale gdy tylko wyłania się czas wolniejszy, człowiek współczesny sięga po zgoła coś innego. Można więc spokojnie przewidywać, że i w erze Wodnika rozkwitnie wspaniale domowa sztuka kulinarna (i nie tylko domowa), aż do czasu, gdy i tę dziedzinę przejmą wyrafinowane automaty. Ale przecież i w erze samochodu chodzimy na spacer. I chociaż mamy już dzisiaj automatyczne, obrotowe grille, to równocześnie wielkim powodzeniem cieszy się ogrodowy rożen na węgiel drzewny. W sumie – nie jakieś pospieszne pigułki, ale wielki rozkwit kulinarny czeka nas w przyszłości, podobnie jak szalony rozwój technik seksualnych.

Bardziej zawila sprawa z wegetarianizmem. Rzecz w tym, że nie jesteśmy tylko spadkobiercami owocożernej małpki. Przy okazji warto przypomnieć, bo nie każdy o tym wie, że małpy – jeśli tylko mogą – jedzą mięso z prawdziwym zapalem. Widzieliśmy, że wszystkie kręgowce zaczynały od mięsa, dopiero potem różne gatunki przestawiały się na pokarm roślinny, łatwiejszy do zdobycia, za to mniej energetycznie wartościowy. Przy okazji traciły znaczną część swojej inteligencji.

W najlepszym razie jesteśmy więc spadkobiercami istot wszystkożernych i tacy jesteśmy też my sami. W tym sensie czysty wegetarianizm to gwałt na naszej naturze. Jest to żałosna prawda naszej natury. Żałosna, bo przecież równocześnie odkryliśmy czy raczej odkrywamy życie duchowe zwierząt i szacunek dla zwierzęcia będzie z pewnością narastał. Okrutny los inteligentnej świni już dzisiaj nie daje spokoju naszym sumieniom. Uciekamy przed tym w niemyślenie, w pozorowaną niewiedzę, ale czy to się uda w nieskończoność? Co prawda świat został tak stworzony, że nie da się na nim uniknąć śmierci ani wzajemnego pożerania, natury pod tym względem nie odmienimy, ale bodaj sami rzeczywiście nie chcielibyśmy w tym powszechnym mordowaniu brać udziału.

Wyjście widzę w technologii genetycznej. Mam nadzieję, że w niedługim już czasie dojdziemy do hodowli tkanki mięsnej na skalę przemysłową bez konieczności zabijania jakiegokolwiek istoty. Czy laboratoryjne cynaderki i wątróbka będą równie dobre jak naturalne, tego nie wiem. Mam nadzieję, że z czasem tak.

W lekceważeniu jedzenia widzę nierozum jeszcze z innego powodu. Jedząc sięgamy przecież do strefy sakralnej, choć na ogół o tym nie wiemy i nie pamiętamy. A przecież nasze „dziękuję” po jedzeniu, to nie podziękowanie za towarzystwo czy coś takiego. To jest szczałek dawnej modlitwy i jest adresowany do Boga (zabawne, że owo „dziękuję” mówią także najbardziej zajadli ateści), jest świadectwem uświęcenia, sakralności biesiady. Jest też jedzeniem samego Boga, nie tylko w naszej komunii, w Chlebie i Winie, ale w innych religiach także, aż po jedzenie totemowego zwierzęcia sięgając. Jedzenie jest więc i komunikacją z absolutem, i rodza

jem identyfikacji z historią ludzką, z przeszłością. A tego chyba nie chcemy utracić?

Podaję, że w erze Wodnika nie tylko nie zrezygnujemy z jedzenia, ale odzyskamy jego uświęcony sens.

Przez cały miniony „wielki rok”, czyli mniej więcej dwadzieścia pięć tysięcy lat, nie zmieniła się biologia, fizjologia człowieka, choć zmieniał się jego tryb życia. Niestety, dane wykopaliskowe ograniczające się do narzędzi, malarstwa jaskiniowego, nielicznych pochówków, czasem szczątków zbudowanej z kości chaty nie pozwalają na skorelowanie rozwoju ideologii i religii z przemianą poszczególnych epok. A właściwie stawiają trochę pod znakiem zapytania samo istnienie takiej kosmicznej przemiany. Trochę przecież możemy wnosić o duchowości człowieka wedle sztuki paleolitycznej, choć nie potrafimy odbudować konkretnego systemu wierzeń. Wiemy jednak, że był. Domyślam się, że zwierzęta wyobrażone na ścianach jaskiń mają wieloraki sens symboliczny. Nieobecność na owych ścianach wyobrażenia człowieka też musi mieć jakąś przyczynę, choć jej nie znamy. Wielkim odkryciem współczesnej nauki jest to, że rozmieszczenie poszczególnych zwierząt, czy raczej ich gatunków, nie jest przypadkowe. Że mamy do czynienia nie z przypadkowymi małżonkami, ale ze znaczącą coś kompozycją.

Leroi-Gourhan czyni porównanie z kościołem katolickim oglądanym przez kogoś, kto nigdy nic nie słyszał chrześcijaństwie. Ten ktoś znajdzie w nim przede wszystkim wyobrażenia przybitego do drewna człowieka, znajdzie też może innego przebijanego strzałami czy inne wyobrażenia męki. Łatwo może dojść do jakichś zupełnie absurdalnych wniosków – że na przykład była to religia wyznająca sadyzm. My właśnie jesteśmy w takiej sytuacji, kiedy nasze interpretacje malarstwa jaskiniowego wahają się między magią myśliwską a religią opartą na seksie. (Bo uważa się, że poszczególne gatunki zwierząt wyrażają płeć). Jedno wszakże jest pewne: ten system wyobrażeń, cokolwiek by znaczył, nie zmienił się przez dziesiątki tysięcy lat. A tymczasem przeminąć musiały liczne znaki zodiaku, liczny ery, epoki, czy jak tam je nazwiemy. I — nic.

Jeśli więc znaki zodiaku niewiele znaczyły dla ludzkości tamtych epok, to dlaczego mają znaczyć coś dzisiaj?

Inne trochę przewidywanie przyszłości zaprezentował historyk Fukujama. Nie powoływał się co prawda na epokę Wodnika, ale na jedno wychodziło. Wieścił on mianowicie koniec historii, co wiązał z upadkiem komunizmu. Przez cały świat przetoczyła się wtedy ogromna dyskusja, zupełnie, jak się okazało, zbędna, gdyż prawie natychmiast wybuchła wojna amerykańsko-iracka, potem mieliśmy i dotąd mamy Jugosławię, zresztą i sami nie czujemy się przecież w jakimś świecie ahistorycznym, raczej całkiem przeciwnie. Po prostu cechy ludzkie i cechy ludzkiego społeczeństwa okazują się znacznie trwalsze niż upadek jakiegoś systemu czy też przejście spod jednej gwiazdnej konstelacji pod inną. Czy historia może się w ogóle skończyć?

Rywalizacja ludzi i społeczeństw przecież pozostanie, nawet gdyby świat stał się jednym wielkim państwem. Przecież i wtedy będą jakieś siły odśrodkowe, jakieś zmagania się idei, jakieś rozbieżności zdań na skalę globalną. Można uzgodnić fakty, choć i to nie takie łatwe, ale najczęściej nie da się pogodzić wyznawanych wartości. Na przykład aktualny polski spór o aborcję dzieje się w ramach dość skądinąd jednolitej społeczności, w obrębie jednego narodu.

Czynniki rozwoju i zmiany będą więc zapewne inne; w tej chwili wydają się nam skorelowane ze zmianą epok, bo jesteśmy właśnie sami w środku tej zmiany. Ale innym, przyszłym ludziom będzie się wydawało, i słusznie, że świat się zmienia dalej niezależnie od epok czy zodiaków.

Trzeba patrzeć nie tyle na zodiak, co na presję demograficzną i technologię. Zwolennicy swobodnego rozmnażania się w nieskończoność utrzymują, że miejsca jest jeszcze niemało, że pustynie, że oceany, bieguny etc. Ale przecież bezwzględnie konieczna jest rezerwa tej

przeźreni, na każdym metrze kwadratowym Ziemi nie może mieszkać jakiś człowiek. Nie wolno zniszczyć wszystkiego poza własnym gatunkiem i pożywieniem. Emigracja na inne światy zostanie więc wręcz wymuszona, ale na razie jest najzupełniej nierealna. Być może nie znajdziemy w dającym się przewidzieć czasie stosownej planety, cóż więc się stanie? Czy powstaną miasta kosmiczne à la Ciołkowski, czy też inżynieria genetyczna zmieni samego człowieka dopasowując go do innego otoczenia? Oba wyjścia wydają mi się raczej okropne. W ogólności zastrzeżenia Kościoła wobec inżynierii genetycznej wydają się dość zasadne. Można łatwo przewidzieć, że zacznie się od walki ze schorzeniami, a skończy na ulepszeniach ludzkiego gatunku, ze staraniem o uzyskanie nieśmiertelności włącznie. Może istotnie nastąpić zerwanie z całym ludzkim dziedzictwem.

Ale to przecież proces nieuchronny, którego nie wstrzymają żadne konwencje międzynarodowe, umowy czy zakazy. Mogą one co najwyżej opóźnić w sposób nieznaczny postęp w tej dziedzinie, lecz zatrzymać go nie będą w stanie. Czy jednak w imię zachowania w pamięci naszego człowieczeństwa mamy prawo przeciwstawiać się zmianom? To prawda, że jest to rzeczywiste igranie z ogniem: zamiast zmian pozytywnych i pożądanых mogą się zrodzić jakieś fatalne skutki uboczne. Ale przecież sam fakt istnienia i rozwoju jest niebezpieczny, życie jest po prostu niebezpieczne i uniknąć tego całkiem się nie da.

Ale to są te najdalsze granice postępu technologicznego. Przedtem jeszcze należy się spodziewać zmian mniej drastycznych, a ogromnych. Z pewnością będą się wiązały ze sztucznym myśleniem, z robotyzacją, co najprawdopodobniej przekształci ziemski tryb życia całkowicie. Można się zresztą spodziewać ogromnych zmian we wszystkich dziedzinach. Mnie najbardziej interesują badania w zakresie fizyki i kosmogogenezy, bo one wiążą się z zasadniczymi pytaniami egzystencjalnymi. Mam przy tym nadzieję, że właśnie rozwój technologii badań pchnie naprzód wiedzę parapsychologiczną, jak to się stało ze zdjęciami kirlianowskimi. Ale także badania ESP Rhine'a wiążą się z precyzowaniem techniki badawczej.

Duch i materia nie są tym samym i zarazem pozostają w jakimś szczególnym, a trudnym do uchwycenia powinowactwie. Stąd wpływ badań „materialnych” na dziedzinę duchową. I tutaj właśnie mogą się pojawić odkrycia wyprowadzające nas poza znane nam życie i znaną nam śmierć.

Między początkiem Ryb i Wodnika istnieje pewne znamienne podobieństwo. Były to w obu wypadkach czasy ożywienia duchowego, szukania absolutu, prawdy, sensu. Istniejące religie nie były w stanie go zapewnić. To nie tylko chrześcijaństwo pojawiło się na przełomie epok, ale wszelkie możliwe mitraizmy, synkretyzmy religijne, przeróżne przez pół dotąd pamiętane bóstwa z Azji Mniejszej obiegały Imperium Romanum. Wydawało się, że całe Ryby będą bez reszty mistyczne. Tymczasem okazało się, że chrześcijaństwo w swoich wersjach zachodnich stymuluje mimo przeróżnych zawilości racjonalne myślenie eksperymentalne i ostatnie stulecia ery przebudowały całą kulę ziemską i wyobrażenia ludzi. Być może i obecny niepokój duchowy jest tylko czymś przejściowym.

Wątki, które dotarły w naszym stuleciu na Zachód, nie są całkiem nowe, wywodzą się bowiem z wyznań niejednokrotnie starszych niż chrześcijaństwo, z hinduizmu, buddyzmu, dżinizmu etc. Czyli jeszcze raz mądrości Wschodu. Szczególnie, że niekoniecznie trzeba je pojmować jako wrogie wobec chrześcijaństwa, można je bowiem uznać za jego uzupełnienie, choć nie jest to tak całkiem proste. W chrześcijaństwie przejście między życiem a wiecznością jest jednorazowe, a odpowiedź, co właściwie będziemy robili w niebie, nie jest łatwa. Tymczasem nowe impulsy nie obiecują nieba już „w pierwszym podejściu”, raczej przewidują długą wędrówkę przez różne formy życia. Dla mnie jest to raczej wędrówka przez różne światy, ale to przecież kwestia osobistego przeświadczenia. Chrześcijaństwo też elementy takiej wędrówki posiada w postaci czyśćca (wieczne piekło to koncept, który wręcz obraża Boga), czyli zakłada jednak możliwość jakiegoś okresu przejściowego, okresu doskonalenia, a o to w gruncie rzeczy wszystkim chodzi.

Druga różnica zasadnicza polega na personalistycznym charakterze Zachodu. Wschód nam mówi, że rozpuścimy się jak kropelka wody w oceanie, podczas gdy Zachód utrzymuje, że pozostaniemy trwali, a ocean też ma własną osobowość. Jestem na tyle wychowankiem Europy, że myśl o rozplynieciu się jest mi niesympatyczna. Przypomnijmy sobie Ibsenowskiego Peer Gynta szalejącego na myśl, że pójdzie „do przetapiacza”. Może to jest kwestia punktu widzenia, może my po prostu nie dostrzegamy, że obie perspektywy wcale się nie wykluczają. Dla mnie one obie są jakoś niekompletne, gdyż nie mówią, co się stanie z naszym duchowym, tu wypracowanym dobrem, jeśli Kocham swoją rodzinę, bliskich, zwierzęta etc., to chciałbym przecież sferę swojego uczucia rozszerzać nie tracąc tego, co było najcenniejsze. Istniejemy społecznie, dlaczego mamy na inne, niewiadome ścieżki koniecznie iść samotnie? Mam nadzieję, że to, co w naszym społecznym, tegoziemskim byciu było wielkie, nie zostanie i później zdeptane i zlekceważone.

Ten problem rozciąga się i na zwierzęta. Na każdą istotę, która przechodzi przez bramę śmierci. Tylko że i my, i one nie będziemy całkiem tacy jak tu i teraz. Wszyscy będziemy lepsi i mądrzejsi, bo też zadania, które przed nami staną, będą ciekawsze i trudniejsze. Oczywiście, można powiedzieć, że to nie żadne przewidywania, ale raczej pobożne życzenia, na to jednak nie mamy żadnej rady. A i „pobożne życzenia” mają może jakiś wpływ na rzeczywistość?

*New Age* to niesłuchanie ciekawy impuls duchowy, ale przecież nie jakaś zorganizowana religia. Co więcej: szmiry i bzdury jest w tym co niemiara. Namnożyło się na Zachodzie mnóstwo reinkarnacyjnych relacji, z których wynika, że każda egzaltowana baba była w przeszłości co najmniej carycą bądź egipską księżniczką. To poza księżniczkami innych kobiet już w Egipcie nie było? Bardzo rzeczowo te reinkarnacyjne zabiegi skrytykował Ian Wilson. W istocie rzeczy po co właściwie mielibyśmy jeszcze raz przeżywać to samo i to bez korygującej pamięci przeszłości? Bezlik amuletów i technik terapeutycznych to oczywiście pochodną kryzysu dotychczasowych form nauki i przekonań. Chyba jednak trudno byłoby dowiedzieć, że z dwóch grup ludzi, z amuletami i bez amuletów, tym amuletczykom wiedzie się sensowniej, lepiej i że mniej spotyka ich nieszczęść.

Przyznam też z melancholią, że jestem zupełnie głuchy na ukochaną muzykę kierunku, że to, co wprawia nastolatków w ekstazę, to dla mnie jedynie nieznośny hałas i udręczenie. Ale to znowu kwestia czysto indywidualna, a poddawanie się bez reszty muzyce świadczy o wybieraniu emocjonalności przeciw racjonalności. W końcu cała sztuka działa w sposób raczej emocjonalny niż racjonalny, więc nic nadzwyczajnego w tym nie ma. Tyle że jedni wolą chóry gregoriańskie, inni Rolling Stonesów.

Czy *New Age* okaże się czymś trwałym? Bardzo trudno powiedzieć, chrześcijaństwo na swoją trwałość musiało pracować kilkaset lat. We wczesnym okresie na trwalszy wyglądał raczej mitraizm, po którym nie zostało dzisiaj dymu ani popiołu. *New Age* może równie dobrze okazać się rodzajem fałszywki. Przyznam jednak, że w tym właśnie upatruję jego szansę, że nie jest czymś wyraźnie zdogmatyzowanym i określonym, że jest raczej chaosem, z którego może się bardzo wiele wyłonić. Przypomnijmy, że tak właśnie było z wielkimi religiami, natomiast coś bardzo sprecyzowanego miało z natury rzeczy nośność ograniczoną.

Najważniejszy wydaje się motyw środowiska człowieka i braterstwo z innymi istotami. Jest to część nowego spojrzenia na świat materialny, w którym wiek dwudziesty odkrył rzeczy cudowne i o charakterze duchowym. Ta materia jest przecież zorganizowaną przedziwnie energią, a energetyczne widzenie świata być może wyprowadzi nas poza cielesne ograniczenia. Zarys takiego widzenia rzeczy znajdowaliśmy u Sedlaka, dość zresztą nieśmiało. Autor był przecież księdzem i to wierzącym, musiał więc o zaświatach rozumować bardzo ostrożnie. I chyba rzeczywiście uniknął sprzeczności między wiarą a rozumem.

Jak się dzisiaj wydaje, gdzieś w tych parametrach wolno nam przewidywać odmiany niesione przez epokę Wodnika. A więc nowa duchowość skojarzona z niesłuchaniem rozwiniętą

technologią. Człowiek zarazem wyzwolony i równocześnie niesłychanie uzależniony od sprawnego funkcjonowania jego świata, bardziej niż my dziś od elektryczności, zaopatrzenia i wywozu śmieci. Wiemy, że inaczej, nie wiemy jak.

Wśród ewentualnych cudów nowej ery będzie zapewne nowe widzenie historii, nowe wartościowanie całej przeszłości z jej częścią przedludzką. Podejrzewam, że wiele naszych wierzeń i zachowań da się wyprowadzić z epok odległych, z dziedzictwa zwierzęcego. Już dzisiaj są prowadzone takie badania, a widać, że poczucie jedności będzie narastać i zyskiwać nowe uzasadnienia. Być może historia ludzi, prehistoria i tzw. historia naturalna złączą się w jeden strumień. W każdym razie żadnej *New Age* być nie może bez nowego rozumienia przeszłości.

Sprawa dinozaurów jest, jak się zdaje, jednym z elementów, bardzo ważnych elementów tego nowego podejścia do przeszłych i przyszłych dziejów świata i człowieka. Sens tego nowego podejścia polega w tym wypadku na absorbowaniu do naszej własnej sfery człowieczej obcej nam dotąd linii dziejów świata, obcej nie tylko w niewiedzy, ale w nieprzekraczalnej barierze między człowiekiem a resztą żywego świata. Po wypędzeniu z ogrodów Edenu Anioł Pański objawił się nam jako smok-strażnik, a teraz zstąpił w postaci dinozaura, aby nas spytać, ileśmy się nauczyli.

Tak oto docieram do końca tej gawędy, dość rozległej, skoro na stole przede mną mieszczą się tak odmienne dzieła, jak książka kucharska i Pismo Święte. Bo też wszystko tu pewnie do tego się sprowadza, by zobaczyć jedność w obcości. Rzecz musiała obrosnąć w różne aspekty i sprawy, podobnie jak sękacz ustawicznie polewany ciastem. W istocie wszystkie te sprawy istniały we mnie od dawna, jak zapewne, może w nieco zmienionej postaci, i w innych. Przed laty planowałem książeczkę o smokach; proszony na wieczory autorskie, jeśli organizator był zbyt zadufany, zmieniałem temat i wygłaszałem odczyt „Ogólna teoria smoków”. Słuchaczom się to nawet podobało, organizatorom nie bardzo. I nikt mi nigdy nie przypomniał starej chińskiej przypowieści: Szu Ping uwielbiał walkę na miecze. Pewnego razu zapragnął posiadać sztukę walki ze smokami. Poświęcił na to trzy lata i tysiąc sztuk złota. Wreszcie umiał już wszystko i opuścił mistrza ruszając na poszukiwanie smoka, by wypróbować swą sztukę. Ale żadnego nie znalazł i do dziś nie wiadomo, czy dzięki swej sztuce Szu Ping mógłby pokonać smoka, czy może przydałaby się ona jedynie w walce z psem? „Czuang-tsy, czyli Prawdziwa Księga Południowego Kwiatu” nie jest, niestety, naszą codzienną lekturą.

Już wtedy interesowałem się dinozaurami i historią życia, ale z innych powodów. W każdym razie nagle zainteresowanie społeczne dinozaurami wywołane filmem Spielberga kazało mi wrócić do całej sprawy i zrozumieć, że istnieje związek między smokiem a dinozaurami i nami, choć natura tego związku może być całkiem inna, niż akurat mnie się wydaje. Historia najnowsza mojej ojczyzny nauczyła mnie, że najbardziej dzikie i nieprawdopodobne rojenia mogą się pewnego dnia ziścić i potwierdzić. Historia dinozaurów i ich współczesnego wskrzeszenia, jak też nasuwające się interpretacje, okazały się dostatecznie szalone, by się opłacało poświęcić im nieco zachodu. A uświadomienie sobie, że dwa równocześnie realizowane filmy Spielberga łączą się ze sobą, bo „ktokolwiek umiera na świecie, ktokolwiek teraz umiera samotny na świecie spogląda ku mnie”, jeśli i Rilkego wolno tu przywołać – nadało przygodzie z dinozaurami wymiar patetyczny. Więc ten otepiały, ostatni dinozaur na „granicy K-T” umierał tak, jak ostatni buntownik ginący w ruinach płonącego Muranowa. Była znów wiosna i zakwitły magnolie.

## **Spis treści**

Piorun wskrzeszony  
Zmartwychwstanie po kawałku  
Ziemia jest wielką jabłonią  
Ile ich było, jakie były  
Ku zagładzie  
Od Spielberga do New Age

